

Rok XXVII

Nr e-78 (274)

Kwiecień 2013

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



Wesołych Świąt!

Z NASZEGO REGIONU

Rytm czasu – zamek w Mosznej	<i>Izabela Kopeć</i>	3
Caspar David Friedrich na gościnnym Śląsku	<i>Ambroży Grzenia</i>	6
Jagniątków ma herb	<i>Fundacja Centrum Kultury i Rozwoju Karkonoszy</i>	7
Pałac w Kamieńcu Ząbkowickim	<i>Izabela Cichoń</i>	8

OJCZYSTE SZLAKI

Świat rowerzystów na Lubelszczyźnie	<i>Lokalna Grupa Działania „Zielony Pierścień” Nałęczów</i>	10
Ezechiel Berzeviczy (1811-1892) i Boleszowce – notatki do lektury (2)	<i>Marian Pacholak</i>	11

TRASA MIESIĄCA

Pieszko do Budziszyna po Via Regia	<i>Krzysztof Tęcza</i>	14
--	------------------------------	----

GLOBTROTER

Wiszera	<i>Janusz Fuksa</i>	16
Wielka Fatra zaprasza	<i>Sebastian Jakobschy</i>	18
Z Zielnika Rostafińskiego (27)		20

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Wiosenna Narada Turystów Pieszych 2013 w Jaworze	<i>Krzysztof Tęcza</i>	21
Łużyce i my – we Wrocławiu	<i>Janusz Zaremba</i>	22
Szczęśliwa trzynastka czyli o XIII Śladowym Spotkaniu w Jaworkach	<i>Juliusz Wystouch</i>	24

EKOLOGIA NA SZLAKU

Ścieżka Przyrodnicza „Gogołowice”	<i>Jerzy Maciejewski</i>	27
---	--------------------------------	----

PORADNIK TURYSTY

Szkoła przetrwania czy... ..	<i>Juliusz Wystouch</i>	28
------------------------------	-------------------------------	----

NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU

Znaki 60-lecia KTG ZG PTTK	<i>H.P.</i>	31
----------------------------------	-------------------	----

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Wrocławski Jubilat	<i>Andrzej Rumiński</i>	32
--------------------------	-------------------------------	----

U KRESU WĘDRÓWKI

Odszedł Theodor Lokvenc	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	33
-------------------------------	------------------------------------	----

RECENZJE, NOWOŚCI

Pamięć i szacunek jeleniogórzan	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	34
Toledo – miasto ze snów	<i>Krzysztof R. Mazurski</i>	35

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

OKP stopień złoty: ponownie nad Bałtykiem	<i>Krzysztof Tęcza</i>	36
---	------------------------------	----

Na okładce: *Na Szlaku* w Wąwozie Homole. Fot.: Paweł Rumiński

Rytm czasu – zamek w Mosznej

Wszystkie rzeczy mają swój czas i swym zamierzonym biegiem przemija wszystko pod słońcem. Czas narodzin i czas umierania, czasu sadzenia i czas wrywania tego co zasadzono, czas zabijania i czas leczenia, czas burzenia i czas budowania, czas śmiechu i czas płaczu, czas narzekania i czas tańczenia, czas rozrzucania kamieni i czas zbierania, czas uścisków i czas wstrzymywania się od uścisków, czas nabywania i czas tracenia, czas chowania i czas odrzucania, czas darcia i czas zszywania, czas milczenia i czas mówienia, czas miłowania i czas nienawiści, czas wojny i czas pokoju. Cóż więcej ma człowiek z pracy swej?

Eklesiastes

Przymglona nieco zimowa szadź potęguje efekt tajemniczości zamku w Mosznej. Każdą gałązkę stuletnich lip i dwustuletnich dębów zamkowego parku udekorowały migocącymi kryształkami szczoteczki lodowych igiełek – oto uzupełnienie bajecznej fantazji. Różne dywagacje na temat założeń architektonicznych budowli i autora projektu nie są do końca rozstrzygnięte. Miejscowa przewodniczka oprowadzająca po zamku sugeruje, że zewnętrzna elewacja części wschodniej jest kopią najslawniejszego zamku bawarskiego króla Ludwika II w Neuschwanstein. Ta sama kopia stanowi także logo filmów Walta Disneya – stąd potoczne, nawet bezwiedne określenie zamku w Mosznej jako Disneyland. Choć historia zamku sięga zaledwie stu lat, to na skutek prawie doszczętnego spalenia jego archiwum w 1945 r. pozostaje w tej materii jedynie przypuszczenie. Szczęśliwym zrzędzeniem losu konstrukcja zamku, którą cechuje kilka architektonicznych stylów, nadana przez potomka rodu Franza Huberta von Tiele Winklera, przetrwała do dzisiaj w nienaruszonym stanie. Zwiedzać można część reprezentacyjną, czyli skrzydło wschodnie, a w nim to, co pozostało z trwałego wyposażenia: stiuki w jadalni, w hallu piękny strop kasetonowy połączony z arkadowym krużgankiem, tralkową balustradę łączącą krużganek ze schodami. Wszystko to, co jest w tym pomieszczeniu wykonane z ciemnego drewna, to drewno sandałowe. W galerii przyzamkowej neobarokowy strop kasetonowy ze świetlikami oraz balkon nazywany loggią. W bibliotece oryginalny neobarokowy strop kasetonowy. Jest to jedyne pomieszczenie – a pokoi w zamku jest tyle, co dni w roku, czyli 360 – gdzie zachował się w całości piękny dębowy parkiet, a także drzwi z dębu z portalami z zielonych marmurów. W gabinecie Pana oryginalne witraże z 1900 r. autorstwa Alberta Luthiego z Frankfurtu n. M. Przedstawiają one przede wszystkim sceny myśliwskie i nawiązują do wielkich polowań, imprez, jakie odbywały się na terenie tej posiadłości. W pomieszczeniu tym znajdują się dwa barokowe portale wykonane z dębowego drzewa: jeden wokół drzwi wejściowych,



Panorama zamku w Mosznej



Piękny strop kasetonowy w hallu zamku

charakterze leczniczym, a jego gospodarzem jest Narodowy Fundusz Zdrowia. W niedługim czasie zaplanowany jest remont z funduszy unijnych. Najważniejsze, jak się podkreśla, że nie trafił w ręce prywatne. Kilka w sąsiedztwie: w Głogówku, Kujawach, Dobrej, Kopicach – znajduje się z tego powodu w stanie opłakanym. Miejmy nadzieję, że zamku w Mosznej nie opuści dobra passa. W hallu zamku wita gości herb jego właścicieli – rodu Thiele-Winklerów. Czteropolowy herb składa się z połączenia dwóch herbów oddzielnych rodów: Thiele i Winckler. Rodzina pochodziła z Miechowic (dzisiejsza dzielnica Bytomia). Przewodniczka zwraca uwagę na umieszczone w ich polach znaki: gwiazdę sześcioramienną i kątownicę, sugerując przynależność rodu do loży masońskiej. Po niemiecku Winckler znaczy kąt prosty – co w tym przypadku miało stanowić zręczną przykrywkę. Według leksykonu haseł i symboliki masońskiej symbole te należą do najistotniejszych w wolnomularstwie: *kątownica – przemianę materii, budowanie nowej jakości*, *gwiazda sześcioramienna – dążenie do celu w myśl zasady „per aspera ad astra”, stanowi atrybut wolności, natchnienie ambitnego celu, wzniosłe czyny, bezpiecznego przewodnika*. Ocieramy się tu o kolejną tajemnicę śląskiej posiadłości. Jeśli w tej materii jest coś na rzeczy, to możemy jedynie spekulować.

Dzieje rodu, jak i zamku, brzmią bajkowo i są równie malownicze. Zaczynają się od nestora rodu, prostego górnika Franza Wincklera i biednego szlachcica Huberta Tiele, zięcia Franza, którego uważa się za protoplastę rodu – przyioty takie, jak inteligencja, pracowitość, zaradność, zdolności i spektakularne mariaże doprowadziły ich do niespotykanej fortuny, lokującej w tamtym czasie ród na siódmym miejscu w Europie. Dzieło z powodzeniem kontynuował syn Huberta – Franz Hubert von Tiele-Winkler. Była to, jak się określa, „arystokracja węgla i stali”. Uznaje się wielkie zasługi rodu w rozwój górnictwa i hutnictwa na Górnym Śląsku w pierwszej połowie XIX w., udział we współzałożeniu miasta Katowice, budowę kolei i wielu obiektów, takich jak dworzec kolejowy, zabudowania mieszkalne, szkoła, szpital – wszystko to w większości funkcjonuje do dzisiaj. Bardzo dużo własnych pieniędzy przeznaczyli na rozkwit tego regionu. Mocno podkreślana jest ich dbałość o byt pracowników i dobroczynność na dużą skalę. W uznaniu zdobywającego szlachectwo i tytuł hrabiowski. Znacząca dla rodu i rezydencji w Mosznej jest postać Huberta von Tiele-Wincklera.

a drugi wokół lustra. Piękne są także oryginalne biblioteczne szafy neogotyckie. Rodzina była wyznania ewangelickiego. Przyzamkowa kaplica, wzorowana na późny gotyk, posiada ascetyczny wygląd, który sprawiają gotowe elementy zdobnicze nałożone na ściany z samego piaskowca.

Choć zamek z zewnątrz przywodzi średniowiecze, to wewnątrz posiada udogodnienia i jest bardzo funkcjonalny. Parowe centralne ogrzewanie było sprawne jeszcze dziesięć lat temu. Na zewnątrz można oglądać 99 różnorodnych wież i wieżyczek, jakie posiada zamek. Najlepiej zaopatrzyć się w lornetkę, żeby nie umknęły nam przebogate szczegóły dekoracyjnych licznych kamiennych rzeźb zwierząt, postaci (nawet głowy diabła) i ozdób. Zamek nie jest placówką *stricte* muzealną. Prowadzi działalność o



Cenny zabytek – barokowy portal wokół drzwi wejściowych do gabinetu Pana

Ustanowił on Fundację Rodową, której celem było kompleksowe wspomaganie wszystkich uboższych członków rodu bez wyjątku. Moszna była siedzibą rodową, odbywały się w niej doroczne zjazdy rodzinne. Hubert został uhonorowany przez własną rodzinę pomnikiem ustawionym w moszneńskim parku, który w latach pięćdziesiątych został zniszczony jako element niepożądanego kapitalizmu.

Hubert von Tiele-Winckler zapoczątkował cenną kolekcję dzieł sztuki, którą z powodzeniem kontynuował jego syn Franz Hubert von Tiele-Winckler eksponując ją w rozbudowanym przez siebie zamku. O kolekcji nie wspomina się w masowo dostępnym przewodniku. Gdy czytam w nim, że właściciele zamku „cechowało nowobogactwo”, to coś zgrzyta. Nowobogackich cechuje zły smak i brak kultury. Z niczym takim nie mamy tu do czynienia. Dążność do sprostania poziomowi starej arystokracji w prezentowanym przez ród stylu nie wydaje się czymś pejoratywnym. Przewodniczka po zamku podkreśliła, że ważnym elementem wystroju zamku były arras z historią Jakuba wykonane przez słynne brukselskie warsztaty Willema i Jana de Kempeneere (skąd pochodzą arras wawelskie) na podstawie kompozycji Bernarda van Orley (dziś w zbiorach Muzeum w Brukseli). Ocalały, bo zostały wcześniej wywiezione do posiadłości zagranicą, a później sprzedane przez rodzinę Muzeum. Na internetowej stronie „Śląskie kolekcje sztuki” możemy zobaczyć, jak wyglądały. Możemy też z opisu nielicznych, niestety, dzieł dowiedzieć się, że kolekcja była różnorodna, nieprzypadkowa i wysublimowana. Archiwalne fotografie ukazują wnętrza, urządzone z pietyzmem i przepychem, które stanowiły swoistą galerię sztuki tworząc wytyczony przez hrabiego zamierzony kierunek tzw. „drogi do celu”, którą musiał pokonać od hallu aż po gabinet każdy gość Pana. Gość miał sposobność poznać dzieła mistrzów, rozkoszować się nimi, docenić bogactwo i dobry gust Pana. Jako że pochłaniało mu to wiele czasu, z pewnością powinien pozostać pod wrażeniem, może z wrażenia w ogóle zapomnieć, po co przyszedł? Dzisiaj pokonujący „drogę do celu” muszą bardzo wysilić wyobraźnię, żeby ulec nastrojowi. Szkoda, że choćby w hallu nie eksponuje się powiększonych kopii dawnych fotografii wnętrz. Tuż po wojnie całe to pozostawione na łaskę bogactwo wyszabrowano lub zniszczono z mocą szarańczy. Zamek jednak nigdy nie został opuszczony. Zawsze spełniał jakąś funkcję: rezydencji rodu, szpitala dla oficerów niemieckich, później gotowego szpitala dla Armii Czerwonej, miejsce wypoczynku dzieci, teraz leczy się w nim nerwice. Wiosną znów zachwyca tłumy zwiedzających rododendrony, które hrabia posadził sto lat temu. Podobnie jak dawniej, dziś też rozbrzmiewa w zamku kameralna muzyka. Tylko żal rozproszonego dziedzictwa. Gdy rusza z posad bryła świata, sztuka staje się bezbronna. Trudno pojąć, że tak naprawdę jest ponad podziałami i że nie należy jej wikać w przyziemność.

Izabela Kopeć



XIII Międzynarodowy Rajd Pieszy IVV
“Luzyckie Wędrówki”
w ramach turystycznej imprezy
“3 Dni - 3 Kraje - 3 Wędrówki”
odbędzie się w dniu **26.04.2013r.**

Organizator imprezy:
Oddział PTSM w Lubaniu
59-800 Lubań, ul. Armii Krajowej 9
tel. 75 721 6580, kom. 604 927 247
szczegółowe informacje na stronie:
www.ptsmluban.vipserv.org/menu3dni.htm

Patronat medialny: Magazyn turystyczno-krajoznawczy “Na Szlaku”

The advertisement features a background image of a busy street scene with many hikers and spectators. On the left side, there are four circular logos: the top one shows a map of Europe with '3 DNI - 3 KRAJE - 3 WĘDRÓWKI' and 'IVV' text; the second is a red and white geometric logo; the third is a yellow triangle with 'P' and 'TSM'; the fourth is a green and white circular logo with 'PTTK'.

CASPAR DAVID FRIEDRICH NA GOŚCINNYM ŚLĄSKU

Latem 1810 r. odwiedził piękną krainę śląską osobliwy gość, który wywarł swą twórczością artystyczną wielki wpływ na europejską kulturę. Tym niezwykłym gościem był sławny malarz Caspar David Friedrich, który przyjechał podziwiać dziką przyrodę w Karkonoszach. Góry te aż do 1945 r., nosiły nazwę RIESENBERG, co oznacza w jęz. polskim Góry Olbrzymie, ponieważ były najpotężniejsze w państwie pruskim, do którego wtedy należały.

C. D. Friedrich już za życia uznany był za jednego z najwybitniejszych malarzy okresu romantyzmu na zachód od Odry i cieszył się w swojej epoce wielką popularnością. Urodził się 5.09.1774 r. nad Bałtykiem w Greifswaldzie, który wówczas należał do korony szwedzkiej. Był szóstym z dziesięciorga dzieci wytwórcy mydła i świec Adolpha Gottlieba Friedricha. Od siedemnastego roku życia zaczął Caspar pobierać lekcje rysunku u prof. Johanna Quistorpa na greiswaldzkim uniwersytecie. W 1794 r. rozpoczął studia w kopenhaskiej Akademii Sztuki, która była wtedy uważana za najbardziej liberalną w Europie. W 1805 r. otrzymał pierwszą nagrodę w Konkursie Przyjaciół Sztuki, zorganizowanym przez Goethego, co zadecydowało następnie w otrzymaniu wsparcia finansowego od rządu pruskiego. Był potem nie tylko ulubionym malarzem Goethego (1749-1832), ale również i cara Rosji Mikołaja I (1796-1855), który wspierał finansowo jego rodzinę nawet po śmierci Friedricha. Kupowane przez imperatora obrazy znajdują się teraz nie tylko w Ermitażu, ale i w innych muzeach rosyjskich. Artysta otrzymywał bardzo dużo zamówień od dostojnych obywateli z całej Europy, bo piękno natury i stare romantyczne ruiny umiał pokazać zawsze na swoich obrazach w niezwykle urzekający sposób. Trzeba też przy tej okazji pamiętać, że widoki gór na obrazach Friedricha są przeważnie wzięte ze szkicowników powstałych w Karkonoszach.

Teraz każde poważne muzeum chciałoby posiadać w swoich zbiorach obrazy Friedricha, które w handlu aukcyjnym się już nie pojawiają. Najlepszym dowodem może być to, że takie muzeum, jak Luwr, nie posiadało w swoich zbiorach przez ponad sto pięćdziesiąt lat żadnego obrazu ani rysunku Friedricha. Dopiero po usilnych staraniach zdołało to muzeum zakupić w 1975 r. na aukcji za miliony dolarów do swoich zbiorów przepiękny obraz tego artysty pod tytułem „DRZEWO WRON”, namalowany w 1822 r. Na obrazie tym widzimy stary dąb z powyginanymi konarami o zmierzchu z nadlatującym stadem wron, czyli zwiastunem nadchodzącej śmierci. Obraz ten, jak zresztą wiele innych jego obrazów, jest takim symbolem przemijania i, jak pisał sam autor tej pracy, że: „ŻYCIE NA ZIEMI JEST NICZYM WIĘCEJ NIŻ OCZEKIWANIEM NA ŚMIERĆ, PONIEWAŻ TYLKO ŚMIERĆ JEST NIEUCHRONNA”. Temat więc o zbliżającej się śmierci każdego człowieka widoczny jest aż za nadto na tym obrazie. I mimo tego, że nastrój grozy na nim jest tu niezwykle sugestywnie pokazany, malowidło owo jest bardzo lubiane przez osoby interesujące się sztuką. Na pięknych nastrojowych pejzażach Friedricha, gdzie człowiek, jeśli w ogóle występuje, jest zawsze tylko maleńką postacią patrzącą w dal i to zawsze odwróconą tyłem do widza. I to właśnie ci tak zwani ludzie „bez twarzy” wywołują u niektórych widzów szczególne wrażenie. Głównym bohaterem na jego obrazach jest jednak kolorystyka, a światło jest tylko jednym z jego elementów niepowtarzalnego uroku tych prac. Tak więc nastrój i oddziaływanie na widza czyni artystę prekursorem ekspresjonizmu.

Friedrich był również profesorem Akademii Sztuk Pięknych w Dreźnie i miał bardzo udane i szczęśliwe życie małżeńskie. W 1818 r. poślubił młodszą o dwadzieścia lat Karolinę Bommer, która dała mu trójkę dzieci, ale, niestety, z biegiem czasu gnębiła artystę uciążliwa



Poranek w Karkonoszach

choroba w postaci stanu chronicznej melancholii. W 1824 r. stan zdrowia Friedricha zaczął się pogarszać. Zmienność nastrojów, szorstkie obejścia i nagłe napady wściekłości sprawiały, że jego stosunki z ludźmi były bardzo trudne. Sytuacja ta znacznie się pogorszyła, kiedy 26.06.1835 r. artysta doznał udaru mózgu i doznał paraliżu prawej strony ciała; w 1837 r. nastąpił drugi udar. Od 1839 r. Friedrich nie był już w stanie w ogóle pracować i zmarł 7.05.1840 r. w Dreźnie, z którym jako miasto kultury był tak bardzo związany.

Teraz, kiedy przeciętny obywatel, którego malarstwo interesuje choć trochę, ogląda w muzeach obrazy Caspara Davida Friedricha, bardzo łatwo może dojść do wniosku, że artysta był zainspirowany poezją i filozofią romantyzmu. Wyczuwa się przy tym też, jak malarz na swoich obrazach oddaje uczucie osamotnienia człowieka, którego doświadcza zawsze w obliczu tajemniczych wyroków losu. W jego malarstwie samotne postacie, zagubione wśród mgieł i starych ruin, nasuwają na myśl każdemu z nas wciąż aktualne pytania o sens człowieczej egzystencji. Szkoda bardzo, iż tak się złożyło, że ten genialny artysta, który tyle lat temu odwiedził Śląsk i zachwycił się Karkonoszami, uwieczniając je w przepiękny, ale nieco fantastyczny sposób na swoich obrazach, nie pozostawił żadnego choćby rysunku po sobie dla tej pięknej ziemi, którą tak mile potem zawsze wspominał. Nie ma więc w Polsce teraz żadnego obrazu tego artysty i najprawdopodobniej już nigdy nie będzie. Bo pręcej można spotkać obecnie na słynnych aukcjach światowych za dziesiątki milionów dolarów obraz Rembrandta czy van Gogha niż obraz namalowany przez Caspara Davida Friedricha.

Ambroży Grzenia

Jagniątków ma herb

Jesienią 2012 r. z inicjatywy Fundacji Centrum Kultury i Rozwoju Karkonoszy zaprojektowany został herb miejscowości Jagniątków. Herb ten nawiązuje zarówno do położenia geograficznego czyli Karkonoszy, czeskich ewangelickich drwali – faktycznych założycieli tej miejscowości, a poprzez charakterystyczne cztery czerwone pasy podkreśla pochodzenie i historię nazwy Agnetendorf/Agnieszków. Powstała ona bowiem od imienia Agnieszki, małżonki hrabiego Krzysztofa Leopolda von Schaffgotsch, właściciela zamku Chojnik. Pomagała ona prześladowanym protestantom, uciekinierom z Czech, a nazwa ta użyta została, by oddać jej część. Herb ten ma znaczenie czysto symboliczne i zasadniczo jest formą współczesnego logo i także należy go traktować.

Fundacja Centrum Kultury i Rozwoju Karkonoszy



Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl

PAŁAC W KAMIEŃCU ZĄBKOWICKIM

Marianna Orańska w 1837 r. odziedziczyła po swojej matce dobra kamienieckie, którymi później zarządzała. Wtedy to wpadła na pomysł, by wybudować w Kamieńcu swoją rezydencję, z dala od stolicy Prus i wszelkiego rodzaju wystawnych przyjęć, których miała już dość. Potrzebowała ciszy i spokoju, dlatego sama wybrała sobie miejsce, gdzie wybudowano pałac. Miał on się znajdować na terenie zalesionym, na niewielkim pagórku.

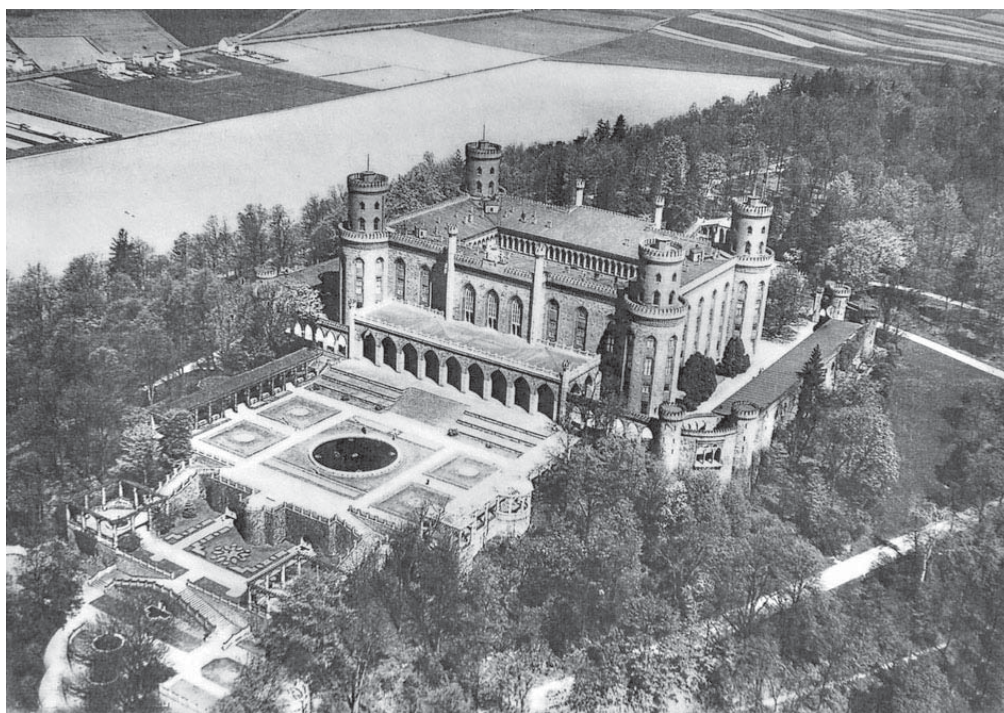
Miejsce budowy pałacu wybrano zatem starannie, na zboczu Grodowego Wzgórza (313 m), skąd zyskano wspaniałą widok na górską barierę Sudetów z zajmującymi najwięcej miejsca w tej urokliwej panoramie Górami Sowimi i znacznie mniejszym od nich, ale za to pozostającym na pierwszym planie jakże charakterystycznym Masywem Brzeźnicy (Brzeźnica 492 m). W tym samym roku zleciła już Karłowi Friedrichowi Schinkelowi, którego znała już wcześniej, budowę pałacu. Jednak Schinkel, w podeszłym już wtedy wieku, gdyż miał sześćdziesiąt lat, sam nie mógł wykonywać projektów ze względu na paraliż ręki. Wynajął więc do pomocy Ferdynanda Martiusa. Pierwsze projekty budowy pałacu powstały jeszcze tego samego roku zimą. Królowna Marianna, która miała swoją wizję pałacu, zmieniała kilka razy projekty. Na zewnątrz rezydencja miała



wyglądać jak niedostępna twierdza, wewnątrz zaś miała być zrobiona w stylu romantyzmu. Opracowanie takiego szczegółowego projektu budowlanego trwało około pół roku. Sporządzono zatem dwa projekty. Pierwszy z nich wykonany został przez Schinkla w stylu włoskiego renesansu. Budowla przypominała zamknięty czworobok wśród licznych parkowych drzew z czterema wieżami. Dokoła pałac miał być otoczony wysokim murem. Taką wizję miał Schinkel w pierwszym projekcie. Działo się to jednak jeszcze przed przybyciem Karla Schinkla do Kamieńca. Drugi projekt natomiast powstał już, gdy Schinkel zobaczył Kamieniec Ząbkowicki na własne oczy. Wtedy farbami akwarelowymi naszkicował zarys pałacu. Ten projekt był o wiele bardziej wzbogacony od poprzedniego i planowany był już w stylu neogotyckim. Spodobał się bardzo Mariannie, która kazała natychmiast rozpocząć budowę pałacu. Utrudniało ją jednak to, iż ze względu na wysokość położenia narażony był na lawiny kamienne.

W obecności Marianny i jej męża Albrechta oraz Schinkla położono 15.10.1838 r. kamień węgielny, a po zimowej przerwie rozpoczęto prace przy wznoszeniu pałacu. Do budowy użyto najlepszych cegieł i kamieni. Niedaleko Kamieńca zbudowano nawet cegielnię. Z pobliskiego Stronia Śląskiego przywieziono marmury potrzebne do wykonania niektórych rzeźb. Kolumny pałacu zrobiono z granitu oraz ze śląskiego marmuru i piaskowca. Marianna nie chciała bowiem brązowej glazury, która została zrobiona w miejscowym piecu. Zażyczyła sobie innego koloru. W tym samym roku wykonano już wszystkie mury w środku, filary i kolumny w pokojach oraz skończono budowę części muru z lewej strony ogrodu. Pokryto go glazurą.

Ze względu na chorobę Schinkla kierownictwo nad budową pałacu objął Ferdynand Martius, który opracowywał plany Mistrza, otrzymywał od niego sprawozdania z budowy, a po jego śmierci w 1841 r. przejął wszystkie obowiązki związane z budową. Po śmierci Schinkla przewidywano także zniesienie dużych schodów na zewnątrz, skierowanych w dół, chciano bowiem zachować taras widokowy i leżący pod nim podjazd. Przed tym podjazdem miał się znajdować rząd arkad dziewięcioosiowych. Zamiast tych arkad zrobiono mniejsze schody, z którymi łączą się arkady równoległe do tego podjazdu. Schody te do dziś prowadzą do ogrodu. W tym czasie bardzo często na teren budowy przybywała właścicielka wraz z mężem. Marianna pisała przez cały czas listy do Schinkla i Martiusa, żeby dowiedzieć się o stanie budowy. Podczas budowy kazała ona zmieniać to kolor, to znów wystrój lub kształt. Tak było również z oknami, które zażyczyła sobie, by były drewniane. Schinkel natomiast chciał je zrobić żelazne. Poza tym kształt okien nie był taki, jaki sobie królowna wymarzyła. Uważała ona bowiem, że otwory w oknach zasłonią zbyt dużą część przyrody, którą chciała podziwiać właśnie przez te okna. Podobne kłótnie zaistniały wówczas, gdy Schinkel zapragnął wykonać w sali jadalnianej podpierające kolumny. Marianna chciała, aby nie było ich w ogóle. Kolejnym pomysłem było



zmniejszenie stajni. Twierdziła ona bowiem, że będzie przysłała widok z zamku. Do 1840 r. zaczęto budować piętro pośrednie, które miało służyć za pomieszczenia dla służby. Zrobiono tutaj aż dziewięć okien z widokiem na podwórze. W kolejnych latach ukończono skrzydło zachodnie i północne oraz zachodnią i północną wieżę. Pokryto też pałac dachem, a wewnątrz wykonano bibliotekę. Budynek główny ukończono w roku, w którym księżniczka Marianna wzięła rozwód, a mianowicie w 1846 r. Wtedy to na jakiś czas zaprzestano budowy pa-

łacu. Zaczęte wewnątrz musiało poczekać na dalszy rozwój parę lat. Marianna po rozwodzie wybrała się w podróż po Rzymie, Florencji i Holandii, gdyż szwagier – król Fryderyk Wilhelm IV, zakazał jej przybywać na pruskie ziemie, a do swojej rezydencji nie mogła wchodzić głównym wejściem. O zamieszkaniu w pałacu także nie było mowy, gdyż mogła ona przebywać na terenie Prus nie dłużej niż 24 godz. Zakupiła zatem w Bilej Vodzie mały pałac, z którego widziała dość dobrze swoją rezydencję. Wybrała się w podróż, gdyż chciała odpocząć i przez ten czas nie myślała o budowie rezydencji w Kamieńcu Ząbkowickim. Przez około sześć lat pałac stał „nietknięty”. Budowę wznowiono w 1853 r., kiedy królowa postanowiła zamieszkać z synem w pałacu. Jemu też pozwoliła dokończyć budowę pałacu na swój styl. Młody książę Albrecht, uzyskawszy zgodę od matki, postanowił wprowadzić nowy styl, a mianowicie historycyzm, styl pałaców angielskich. Dlatego też wybrał się on wraz z Ferdynandem Martiusem do Anglii, by bliżej poznać ów styl i zaprojektować go u siebie w rezydencji.

W parę lat później zrobiono w pałacu instalację wodną i gazową, natomiast w rok później (1866) przestano pracować przy budowie pałacu ze względu na toczącą się wojnę. Dlatego też budowa pałacu trwała ponad trzydzieści lat. Do 1873 r. trwało wyposażanie wnętrza. Wnoszono liczne rzeźby, meble, malowano komnaty. Każde pomieszczenie miało inny wystrój i było zbudowane z najlepszych materiałów w tamtych czasach, jak z różnego rodzaju cegły, ciosów kamiennych i błyszczącej miki. Oprócz tego korytarze pałacu zdobiono marmurem „Biała Marianna”. Z marmuru zrobiono także balustradę tarasu, zwieńczenia fontann i liczne posągi. Sala jadalna miała najbogatsze witraże w całym pałacu. Znajdowały się one w oknach i przedstawiały rodzinę książąt Orańskich oraz postacie ze biblijne. Wszystkie komnaty urządzone z wielkim przepychem. Z marmuru zrobiono także toaletę, na której stały przedmioty wykonane ze złota.

*Cdn.
Izabela Cichoń*



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Świat rowerzystów na Lubelszczyźnie

Na Lubelszczyźnie powstała Kraina Rowerowa przy Bursztynowym Szlaku Greenways. Lokalna Grupa Działania „Zielony Pierścień” wspólnie z gminami północno-zachodniej części województwa stworzyła i oznakowała tu blisko 500 km tras rowerowych oraz wydała publikacje zachęcające do zwiedzania tego malowniczego regionu w sposób aktywny i poznawczy.

Najnowszy przewodnik „Kraina Rowerowa przy Bursztynowym Szlaku Greenways” autorstwa Sławomira Łowczaka, wydany przy współpracy z Programem PolskaTurystyczna.pl, przedstawia propozycje kilkunastu wypraw rowerowych z opisami przebiegu tras i stopnia trudności, informacjami o walorach przyrodniczych, historii zwiedzanych miejsc, zabytkach i ludziach. Przewodnikowi towarzyszy Paszport, z którym po zgromadzeniu odpowiedniej liczby pieczętek można zdobyć Odznakę Krainy Rowerowej przy Bursztynowym Szlaku Greenways na Lubelszczyźnie.

– *Trasy rowerowe prowadzą przez malownicze tereny parków krajobrazowych: Kazimierskiego i Kozłowieckiego, a także wzdłuż przełomu środkowej Wisły i pradoliny Wieprza – mówi Zbigniew Pacholik, prezes LGD „Zielony Pierścień”. – Przez nasz region, na odcinku od Janowca do Dębina, biegnie także ponad 60-kilometrowy odcinek międzynarodowego Bursztynowego Szlaku Greenways. Ekoturysty posmakują u nas wyśmienitych produktów regionalnych, spotkają autentycznych lokalnych twórców, powędrują trasami questów w poszukiwaniu skarbów, wezmą udział w imprezach kulturalnych.* – dodaje.

Bursztynowy Szlak Greenways to rowerowa trasa dziedzictwa przyrodniczo-kulturowego wiodąca z Budapesztu przez Bańską Szczaownicę na Słowacji do Krakowa i dalej Doliną Wisły po Morze Bałtyckie. Osią tej międzynarodowej inicjatywy jest projektowany i wytyczany szlak rowerowy wraz z pętlami tematycznymi, przeznaczonymi do turystyki pieszej, rowerowej, wodnej oraz innych form ekoturystyki i turystyki dziedzictwa. *Przy historycznym bursztynowym szlaku skupiało się życie mieszkańców Europy Środkowej zapisane w legendach, krajobrazie krain czy skarbach miast i miasteczek rozwijających się przez setki lat dzięki licznym kontaktom handlowym i kulturowym.* – mówi Dominika Zaręba - współtwórczyni Bursztynowego Szlaku Greenways. *Współczesny Bursztynowy Szlak eksponuje unikalne wartości poszczególnych regionów, ich przyrodę, tradycje, lokalną kuchnię, rzemiosło, sztukę, imprezy i jarmarki. Są one dzisiaj, jak symboliczny bursztyn w przeszłości, magnesem przyciągającym podróżnych – miłośników turystyki przyjaznej dla środowiska.* – dodaje.

Partnerzy projektu: gminy – Baranów, Miasto Dęblin, Garbów, Janowiec, Kamionka, Końskowola, Kurów, Markuszów, Puławy, Miasto Puławy, Ryki, Wąwolnica, Wojciechów, Żyrzyn



PASZPORT

Krainy Rowerowej
przy Bursztynowym Szlaku Greenways



Ezechiel Berzeviczy (1811-1892) i Bołszowce – notatki do lektury (2)

Drugi akt dziejowego dramatu rozegrać się miał ostatecznie w 1944 r. Skazany na zagładę klasztor i kościół w 1947 r. definitywnie zamknięto. Obraz ponownie wywieziono do Lwowa, rok później do Krakowa, a w 1966 r. do Gdańska, do tamtejszego klasztoru karmelitów przy kościele św. Katarzyny. W 2002 r. z Gdańska do Bołszowiec przywieziono jego kopię. Tu dość dodać, że w początkach XIX w. dobra bołszowieckie należały do rodziny Małeckich, którzy w okolicy dawnego zamku, na stoku łagodnego wzgórza, około 1800 r. zbudowali niewielki dwór. W 1830 r. od spadkobierców po Józefie Małeckim nabył je Walerian Krzeczunowicz (1790-ok. 1866), działacz galicyjski ormiańskiego pochodzenia. Po nim dziedziczył syn Kornel (1815-1881) i wnuk Aleksander (1863-1922), także działacze polityczni. Ostatnim właścicielem majątku, do 1939 r., był prawnuk Kornel Krzeczunowicz (1894-1988), uczestnik II wojny światowej (potem na emigracji). W holu rezydencji eksponowano portrety rodzinne oraz rodowe pamiątki, pracą pokoleń zgromadzono zasobną bibliotekę i bogate dworskie archiwum. Nekropolia w Bołszowcach oraz nagrobek Ezechiela Berzeviczego stały się bezpośrednią przyczyną powstania niniejszego tekstu. To miejsce, które mnie i zapewne wielu uczestników wycieczki, pielgrzymowania AD 2011, zaciekawiło najbardziej. Zainteresowanych odsyłam do artykułu „Projekt ratowania cmentarzy Ormian Polskich” – <http://fundacjaormianska.pl/cmentarze/>

Bołszowiecki pomnik jest prawdziwą perłą sztuki nagrobnej. W złożonej, choć zarazem prostej, czytelnej formie wyraźnie zaświadczać miał nie tylko o pamięci i czci dla „starego żołnierza”, ale stanowić, wykuty w piaskowcu, wyraz hołdu dla wartości, o które walczył i przez całe życie kultywował. Podziw musi budzić akademicki realizm wykonawcy (i projektanta) w przedstawieniu oraz zestawieniu poszczególnych, od dziesięcioleci już symbolicznych, akcesoriów batalistycznych o wyraźnych treściach patriotycznych, przykładowo: paradne ułańskie czako, szabla oficera jazdy, szwoleżerska lanca z narodowym proporcem (całość w laurowym wieńcu) czy jak dawny wotywny ryngraf – wizerunek MB z Dzieciątkiem, uzupełniony naręczem polnych kwiatów. To pomnik osoby tu spoczywającej, jak i odchodzących „na ostatnią wartę” bohaterów listopadowego pokolenia. U dołu, na cokole po obu stronach nagrobka, mamy związane, bez dodatkowych maksym czy sentencji, antykwą wykute (z całkowicie spolszczoną wersją nazwiska) dwa napisy: „Tu leży / OFICER POLSKI / JAZDY WOŁYŃSKIEJ / KAROLA RÓŻYCKIEGO / 1831 r.” oraz po drugiej jego stronie: „EZECHIEL BERZEWICZY / * 1811 † 1892”. Niestety, na nagrobku nie znalazłem żadnej sygnaturki kamieniarza (artysty), choć monumentalny nagrobek z pewnością wpisuje się w szeroki tematycznie krąg ikonograficzny dotyczący historii i lokalnych przekazów 1831 r. Stąd wnosić też można, że mógł mieć swoje pierwowzory w rzeźbach i reliefach końca XIX w.

Próżno szukać odrębnego hasła o Ezechielu Berzeviczym w dzisiejszych encyklopediach czy słownikach. Jedyne z nekrologu zamieszczonego w „Gazecie Lwowskiej” z 20.02.1892 r. (nr 40 s. 4) dowiedzieć się można, że „Ezechiel de Eadem Berzeviczy, oficer jazdy wołyńskiej z r. 1831, długoletni pełnomocnik dóbr pp. Krzeczunowiczów, zmarł w Bołszowcach dnia 18 lutego b. r., przeżywszy lat 81”. Natomiast dzięki „Bibliografii polskiej” Karola Estreichera bez większego trudu możemy „odkryć”, że nasz bohater był autorem kilku

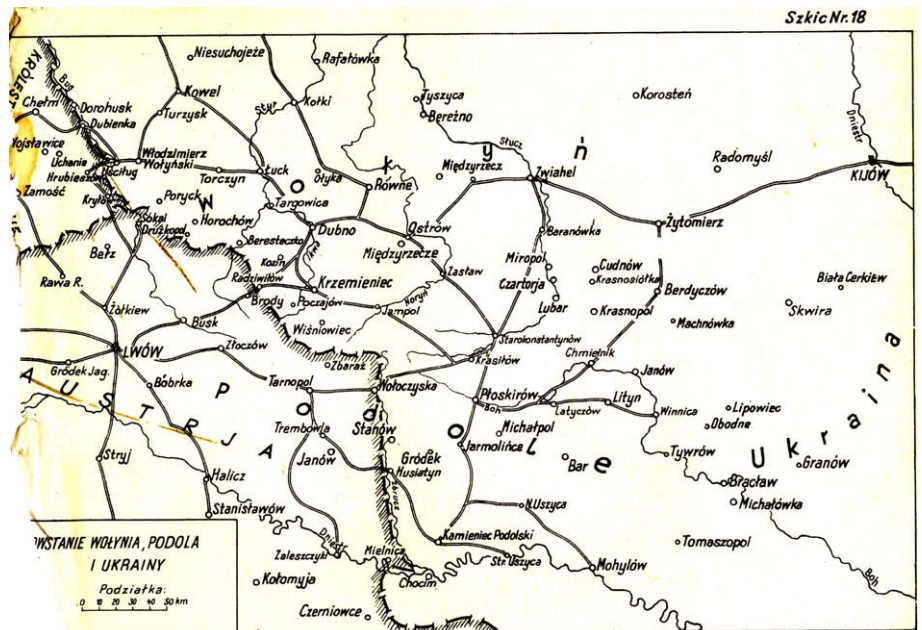


Portret Różyckiego



Akwarela Rupniewskiego

do 6. pułku piechoty, służył w 12 kompanii pod dowództwem majora Krużyńskiego dowódcy batalionu; dnia 19 kwietnia pod Boremlem został podoficerem; po przejściu korpusu Dwernickiego do Galicji, udał się Berzeviczy do głównej armii i wkrótce wszedł do pułku jazdy wołyńskiej, pod dowództwem Karola Różyckiego, który umundurowawszy swój pułk w Solcu, wyszedł w lipcu 1831 r. na linię bojową zostawszy przydzielonym do korpusu partyzanckiego generała Szeptyckiego i Samuela Różyckiego, w wojew. sandomierskiem. Z tym puł-



Kornel Krzczonowicz. Podług fotografii Adeli w Wiedniu.

pamiętników (niestety, bez wznowień). Krótki biogram autora wspomnień o 1831 r. znajdziemy też w „Życiorysach uczestników Powstania Listopadowego” (zebranych przez Onufrego Hieronima Kunaszowskiego na pamiątkę obchodu pięćdziesięcioletniej rocznicy; Lwów 1880 s. 98); ([zobacz w Internecie](#)).

„Berzeviczy Ezechiel, urodzony w Galicji 1812 [1811] r., na odgłos powstania listopadowego pospieszył do Polski w kwietniu 1831 r., gdy korpus Dwernickiego wychodził na Wołyń, zaciągnął się

kiem brał udział Berzeviczy w bitwie pod Hżą, pod Chodczą i pod Lipskiem 10 września 1831, skąd przez Sandomierz wrócił do Galicji w stopniu podporucznika. W roku 1876 i 1879 wydał „Wspomnienia podporucznika” i „Wieczory starego żołnierza” nakładem księgarni Bełzy we Lwowie; obydwie pisemka kreślą w sposób zajmujący owoczesne zdarzenia wojenne. Po skończeniu wojny, oddał się zawodowi gospodarskiemu, jako rządca dóbr w ziemi halickiej”.

Wydana w 1879 r. z okazji Jubileuszu Kraszewskiego książeczka (50-lecia pracy literackiej) liczy z górą dwieście stron, zaopatrzona jest przedmową autora oraz wydawcy. Autorem opowiadań „Bitwa pod Uchaniem” i „Bitwa pod Lipskiem” jest Seweryn Ostaszewski, natomiast Antoni Szaszkiwicz, adiutant Karola Różyckiego, jest autorem rozdziału „Opowiadanie”. Wspomnienia towarzyszy broni z kampanii wołyńskiej zebrane przez Ezechiela Berzeviczego zostały autoryzowane, następnie wydane we Lwowie nakładem Władysława Bełzy. Weterani 1831r. zebrali się na Zjeździe w Bołszowcach



PUŁEK MAZURÓW. LEGIA WOŁYŃSKA. LEGIA UKRAIŃSKA. STRZELEC KALISKI. PUŁEK IX. PIECHOTY. KURPIK.

15.02.1877 r.; raz jeszcze należałoby zatem wrócić do ówczesnej prasy. Karol Różycki (1789-1870) jest także autorem, kilku równie ważnych, wydanych na emigracji, publikacji:

1. „Powstanie na Wołyniu, czyli Pamiętnik Pułku Jazdy wołyńskiej, uformowanego w czasie wojny narodowej polskiej przeciw dyktatorstwu tronu rosyjskiego, w 1831 roku [...]”, Bourges: druk. P. Souchois, 1832; w 8ce, str. 33, 1 frank 50 cent. (wyd. 2, Bourges 1833); tekst dostępny w [Internecie](#).

2. „Uwagi nad Wyprawą Jenerała Dwernickiego na Ruś”, Bruxella 1837; str. 77, z mapą.

3. „Pamiętnik pułku jazdy wołyńskiej 1831 r.” (z przedmową Adama Mickiewicza), Kraków: nakł. Karola Bajkowskiego, 1898; w 8-ce, str.

40, z portretem autora, hal. 80 (wcześniej wydanie paryskie z przedmową Mickiewicza oraz szereg kolejnych edycji krajowych); treść publikacji, jak i kolejne ilustracje, dostępne w [Internecie](#) (FBC).

Cdn.

Marian Pacholak

HARDCOPY

PRACOWNIA DRUKU I REKLAMY

druk, ksero, skanowanie, A4-A0, czarno-biały, kolor, **oprawy**, prace magisterskie i dyplomowe, dokumentacje projektowe, **reklama**, banery, tablice reklamowe, rollupy, oklejanie witryn i szyldów, **grafika**, projektowanie graficzne, wizytówki, ulotki, plakaty, katalogi, broszury, www.hardcopy.pl

biuro@hardcopy.pl • tel. 607 267 988

Pieszno do Budziszyna po Via Regia

Od setek lat ludzie pielgrzymują do miejsc świętych. W wyniku tego powstało kilka dróg, po których poruszają się oni w mniejszych czy większych grupkach. Z reguły dzienne przejścia oscylują w granicach 30 km. Większy dystans byłby już zbyt wyczerpujący, a tym samym niebezpieczny. Jest wiele dróg prowadzących do celu, a jedną z nich jest właśnie *Via Regia*. Nie każdy ma możliwość odbyć pielgrzymkę na całej trasie, prowadzącej ze Złotoryi do Königsbrück, proponuję przejście etapu z górnołużyckiej miejscowości Merjow/Melaune do Budziszyna – stolicy Łużyc Górnych.

Ruszamy w stronę widocznych w oddali wiatraków. Po zjednoczeniu Niemiec na okolicznych polach planowano budowę składowiska odpadów radioaktywnych. Praktycznie oznaczało to śmierć całego życia na przeznaczonych pod to ziemi. Mieszkańcy, nie godząc się na to, rozpoczęli walkę. Składowisko nie powstało. Na pamiątkę zwycięstwa ustawiono tutaj w 1994 r. drewniany krzyż z metalową tabliczką, na której umieszczono stosowny napis. Dowiadujemy się z niego, że na 40 ha miało tu wyginąć życie przyrodnicze, ponieważ prowadzimy nieprzyjazny sposób życia. Idąc polną drogą docieramy do Křišowa/Buchholz, gdzie na stawach założonych przez Krzysztofa von Gersdorfa zobaczymy kaczki. Wkrótce docieramy do Wósporka/Weissenberg. Przechodzimy koło zadbanego cmentarza żołnierzy radzieckich i już jesteśmy na Rynku z ratuszem o wysokiej okrągłej wieży. Obok w niewielkiej fontannie umieszczono żeliwny odlew zielonego drzewa, będącego herbem miasta. Ponoć Biała Góra, tak tłumacząc z niemieckiego, to miejsce starć dwóch bogów: białego i czarnego, czyli walki dobra ze złem. Można tutaj spróbować smacznych pierników, które są wytwarzane i sprzedawane w sklepie będącym zarazem muzeum. W soboty jest on czynny dopiero od godz. 13. Idąc w stronę kościoła zobaczymy stary dom przysłupowy. Kościoły ewangelickie mają bardzo surowy wystrój, dlatego nie spodziewajmy się tu czegoś niezwykłego. Nie ma w nim zbyt wielu ozdób. Przy murze cmentarnym zobaczymy mogiłę, w której pochowano siedemnastoletniego chłopca, rozstrzelanego pod koniec ostatniej wojny za dezercję. Nasuwa się tu pytanie: bohater to czy zdrajca? Zapewne będziemy odmiennego zdania niż jego rodacy. Dla powrotu na właściwą drogę musimy pokonać prawie sto stopni. Widzimy zatem, że zwiedzane miasteczko jest położone, tak jak sugeruje to nazwa, na górze.

Wkrótce docieramy do leśnego wąwozu, ale zanim to nastąpi, mijamy wiadukt będący pozostałością dawnej kolejki. Po przekroczeniu drewnianego mostku nad rzeką Löbau idziemy wąską ścieżką uważając, by nie ześlizgnąć się do wody. Jednak zieleń, szum wody i, przede wszystkim, nastrój, jaki nam się niewątpliwie udzieli, zachęca do marszu naprzód, przed siebie. Nie zrażą nas nawet powalone wielkie drzewa, które bardzo utrudnią wędrówkę. Niektóre, ze względu na strome zbocze, po którym idziemy, będziemy musieli ominąć. Wydłuży to trochę drogę ale mimo wszystkich trudności dotrzemy do Hrodzišcia/Gröditz. Tu pałac, przykryty mansardowym dachem. Niestety, jest on zamknięty. Trzeba poszukać Nicol, opiekującej się nim w imieniu obecnego właściciela – Bertharta Zenkera. Jego rodzina mieszkała tutaj aż do 1945 r. Jakiś czas temu stworzono jej możliwość odkupienia posiadłości. Teraz, w miarę możliwości, prowadzi on prace remontowe. Pomagają



Fontanna – herb miasta przed ratuszem w Wósporku/Weissenbergu



Pałac w Hrodziściu/Gröditz

mu w tym mieszkańcy i wolontariusze. Widać już efekty tych prac. Na aukcjach internetowych kupowane są meble pasujące do wnętrz pałacowych. Niektóre są prezentami od osób zaprzyjaźnionych. Dla sprostania wyzwaniom założono Stowarzyszenie *Pro Gröditz e.V.*, co szybciej przybliży końcowy efekt prac dla przywrócenia dawnej świetności obiektu. To, co wykonano do dzisiaj, wygląda bardzo zachęcająco. Pokoje zostały odnowione i wyposażone w stare meble. Niektóre z nich mogą wprawić w zachwyt. Bardziej spostrzegawczy dojrzą pewnie „tajne” przejścia ukryte w ścianach. W oknach umieszczono ciekawe witraże, na ścianach widzimy wiele pamiątkowych portretów i ładnych obrazów. Są tu też wspaniałe piece kaflowe. Na koniec możemy wrzucić symboliczne euro do skarbonki i wpisać się do książki pamiątkowej.

Obok pałacu znajduje się schronisko dla pielgrzymów, Santa Martha. Opiekuje się nim Dietmar, bardzo wesoły i sympatyczny wielkolud. Pozwoli on zobaczyć, jak wygląda obiekt w środku. Jest tu kilkusobowy pokój, świetlica i kuchnia samoobsługowa. Koszt noclegu to symboliczne „co łaska”, jednak najczęściej pielgrzymi zostawiają 5 Euro. Warto też zajrzeć do kościoła, mającego jeszcze elementy romańskie. Już przy wejściu zaskoczy nas napis umieszczony nad drzwiami. Jest on jakiś „znajomy”. Okazuje się, iż napisy są tu dwujęzyczne: po niemiecku i łużycku. W środku urzeknie ołtarz z obrazem przedstawiającym scenę ukrzyżowania Jezusa, a nad nim Wniebowzięcia. Po obu stronach okna zaopatrzone w zachwycające witraże. Koło kościoła znajduje się stary budynek gospodarczy, przystosowany do organizacji różnych imprez, nawet weselnych. To tutaj spotykają się grupki młodzieży oraz tutaj wydawane są posiłki. Możemy spróbować gulaszu z chlebkiem i ciemnym piwkiem. Wszystko jest pyszne. Porcja, jaką dostaniemy, w zupełności wystarczy, by poczuć się najedzonym.

Teraz ruszamy lipową aleją przez pola w stronę widocznego lasu. Znak wskazujący dalszą drogę, namalowany na pniu drzewa, z powodu pęknięcia kory wygląda, jakby kierował w dwie przeciwne strony. Nie dajmy się jednak zwieść i pójdźmy we właściwym kierunku: w lewo. Mijając niewielki pałac otoczony fosą, nad którą przerzucono kamienny mostek, dojrzymy do Drożdżija/Drehsa. Znajduje się tu wieża widokowa. Jak chcemy wejść na nią, należy znaleźć osobę dysponującą kluczami. Wędrując w końcu lata możemy skosztować orzechów włoskich spadających z rosnącego tu drzewa. Idąc dalej polnymi drogami będziemy mogli skosztować jeszcze soczystych jabłek i słodkich gruszek, które tworzą całe kolorowe dywany. Powolutku zbliżamy się do Budziszyna. Zaraz na początku miasta przywita nas napis na ustawionej tablicy. Niestety, trasa, jaką właśnie przebyliśmy, zajmie tyle czasu, że na zwiedzanie tego pięknego miasta trzeba albo wybrać się innym razem, albo skorzystać z noclegu.



Wieża w Drożdżiju/Drehsa

Krzysztof Tęcza

WISZERA

Po dwudziestu dniach wyszliśmy z tajgi uralskiej i trafiliśmy do pierwszego ludzkiego osiedla Łypia nad rzeką Wiszerą i jej dopływem Łypią (patrz: *Tajga Uralu*, NS nr e-4, e-6, e-7, e-8 z 2010 r.). Gospodarz Pantelejmon Kornilowicz przyjął naszą szóstkę studentów w swoim domu, nakarmił i pozwolił przenoćować na podłodze w ciepłym pokoju. W sąsiednim domu, należącym do jego syna, zatrzymała się siódemka permickich studentów, których spotkaliśmy w tajdze. Na pytanie, gdzie możemy znaleźć jakiś środek transportu, odparł, że za niewielką zapłatą na benzynę może nas podwieźć swoją łodzią do najbliższej miejscowości, gdzie już mamy radę. Ale musi mieć czas na przygotowanie łodzi. Rzeczywiście, staruszek wyciął dwa młode świerki, starannie je oczyścił i postronkami mocno przywiązał z obu stron łodzi. W ten sposób zwiększył jej wyporność i stateczność. To samo zrobił jego syn ze swoją łódką, którą mieli płynąć permiaacy. Dopiero tuż przed południem polecił nam rozlokować się z plecakami na łodzi. A sam do pionowej deski w tyle łodzi przymocował przegubowo dźwignię z silnikiem benzynowym i śrubą napędową zanurzoną w wodzie. Rączka, będąca przedłużeniem dźwigni, pozwalała przemieszczać śrubę w poziomie, dzięki czemu można było zmieniać kierunek ruchu. Dwóm osobom siedzącym w środkowej części wręczył blaszane kubki do wyczerpywania wody. Tak przygotowaną łodzią ruszyliśmy po falach Wiszery. Zadowoleni, że już nie musimy iść, obserwowaliśmy okolicę.



Wiszera. Wikipedia

Na lewo za lasem widniał ośnieżony grzbiet Tułymskiego Kamienia (1377 m, 35 km długości). Z prawej mieliśmy wciąż niewysokie pagórki porośnięte drzewami. Rzeka rozszerzyła się, zrobiła się płytsza. Przed nami na zakręcie wyrosła wysoka skała, a przy niej było jedyne głębsze miejsce. Podpłynęliśmy, gospodarz



Wiszera w okolicy Wai. Wikipedia

sterujący silnikiem przesunął ster ze śrubą w bok, by ominąć duży kamień. Wysokie fale zalewały wnętrze łodzi. Kubki w naszych rękach zawirowały ze zdwojoną szybkością. Ale na próżno! Po kilku metrach łódź wraz z nami znalazła się pod wodą. Wskoczyliśmy z łodzi, wody było po pas. A nasze plecaki popłynęły z nurtem rzeki. Aby je wyprzedzić, wybiegliśmy na brzeg i popędziliśmy ścieżką. Wskoczywszy w wodę, wszystkie wyłowiliśmy. Po tej operacji wróciliśmy do zatopionej łodzi, przesunęliśmy ją na mieliznę, przechyliliśmy, by wylać wodę, a jej resztki usunęliśmy kubkami. Rozpaliliśmy na brzegu ognisko, próbując suszyć zdjęte z siebie spodnie. Dobrze, że odzież w plecakach, pochowana

w workach, nie zdążyła zamoknąć. Wymuszony postój wykorzystaliśmy do wypicia po kubku gorącej herbaty.

Odpoczynek się skończył. Załadowaliśmy plecaki do łodzi, sami zajęliśmy miejsca i nasz gospodarz uruchomił silnik. Dalsza droga Wiszerą nie przyniosła już mokrych zdarzeń. Pod wieczór dopłynęliśmy do osiedla Priiskowaja. Było to tylko 35 km w prostej linii, ale rzeką chyba z 50 km. Pantelejmon Kornilowicz zaprowadził nas do znanego sobie dużego domu. Gospodarz zgodził się przenocować całą szóstkę na podłodze w największym pokoju, za drobną opłatą po rublu od osoby. Pożegnaliśmy się z uczynnym staruszkiem, zapłaciwszy mu za transport po kilka rubli. Poszedł on na nocleg do innej chaty, by jutro skoro świt wyruszyć swoją łodzią w górę rzeki do Łypii. Miał mu towarzyszyć syn, który dowiózł tu grupę permiaaków.

Weszliśmy do pokoju, który wskazała gospodyni. Zwróciły moją uwagę duży biały piec, stół i ława. W rogu pokoju wisiała stara szerniała ikona. W rzeźbionym kredensie stały za szybą naczynia. Wśród nich zauważyłem żółtawe pudełko z charakterystycznymi czarnymi kreseczkami. Gospodyni objaśniła, że to cukiernica zrobiona przez dziadka. I że miała więcej przedmiotów z *bieriesty*, ale się zużyły. Jak je wytwarzano? Przygotowywano długie, dwucentymetrowej szerokości paski z kory brzoźowej, usuwano łuszczącą się białą skórkę i nawijano je na patyk, otrzymując okrągłe zwoje. Paski ze zwojów służyły do wyplatania pojemników różnego kształtu i wielkości, o różnym przeznaczeniu. Były duże pojemniki na zboże, na kasze, koszyki na jagody, pudełka na drobiazgi, plecaki, a nawet łapcie. Wędrując w tajdze poznałem różne zastosowania kory brzoźowej. Służyła nam do rozpalania ogniska, a pod osłoną nawet podczas deszczu. Na ścieżkach masyjskich znaki na płatach takiej kory stanowiły informację dla wtajemniczonych. Widziałem masyjską jurcję pokrytą korą brzoźową. Ale dopiero tutaj przekonałem się, że z kory brzoźowej można tworzyć domowe przedmioty użytkowe.

Wieczorem do zajmowanego przez nas pokoju przyszło kilka osób. Rozeszła się bowiem wiadomość, że przybyła z gór grupa studentów z dalekiego Kijowa. Gdy się wydało, że jest wśród nich *inostraniec* Polak, musiałem wiele opowiedzieć o kraju, który był dla tych ludzi nieosiągalną w tych czasach krainą dobrobytu i szczęśliwego życia. Rozmowom towarzyszyła kolacja, do której dołożyliśmy się. Ktoś z gości przyniósł trunka, udający koniak, powstały zapewne z samogonu. Gospodarz poinformował nas, że stąd raczej nie odpłyniemy, ale w następnej dużej wsi możemy wynająć łodzie do dalszej podróży. Skorzystaliśmy więc z noclegu i następnego dnia późnym rankiem ruszyliśmy piechotą po drodze wzdłuż Wiszery. Po pięciu godzinach marszu byliśmy na miejscu we wsi Wiols. Znaleźliśmy dom gospodarza podpowiedzianego w Priiskowej. Zgodził się, że nazajutrz, wraz z sąsiadem, odwiezie naszą szóstkę i permiaaków do kolejnego osiedla Waja. Nocleg natomiast na podłodze w dwóch klasach zapewnił kierownik miejscowej szkoły. Dobrze, że we wsi była poczta. Mogliśmy stąd wysłać telegram do Połunocznego z drugiej strony Uralu, że szczęśliwie wyszliśmy z tajgi. Umówiliśmy się bowiem z tamtejszym kierownikiem szkoły, że przy braku takiego telegramu w terminie kontrolnym powiadomi odpowiednie służby, by uruchomiły poszukiwanie grupy przy pomocy śmigłowca. A termin kontrolny właśnie upływał.

Następnego dnia trzeba było wstać przed godz. 7, by udostępnić klasy do nauki, która zaczynała się o ósmej. Udaliśmy się na przystań, ale trwała burza ze śniegiem i gradem. Czekaliśmy wraz z właścicielami dwóch motorówek. Na szczęście około godz. 10 pojawiło się słońce. Łodzie ruszyły. Płynęliśmy wciąż kłuczającą rzeką, to na południe, to na zachód, doliną między dwoma grzbieciami: na wschodzie był porośnięty tajgą graniczny Ural Północny, na zachodzie zaś niewysoka pagórkowata wyniosłość terenowa, też pokryta lasem. Po sześciu godzinach byliśmy w osiedlu Waja. Przebyliśmy tego dnia w prostej linii 30 km, ale rzeką chyba ze 45 km. Znaleźliśmy podpowiedziany adres. Gospodarz zakwaterował naszą grupę w swoim największym pokoju. Permiacy znaleźli lokum w innym domu.



Waja nad Wiszerą. Wikipedia

Cdn.

Janusz Fuksa

Wielka Fatra zaprasza

Słowacja od lat kusi swoimi górami polskiego turystę. Najczęściej odwiedzane pasma górskie to Tatry, Słowacki Raj i Mała Fatra. Warto jednak poznać inną ciekawą grupę górską, a mianowicie Wielką Fatrę (*Velká Fatra*).

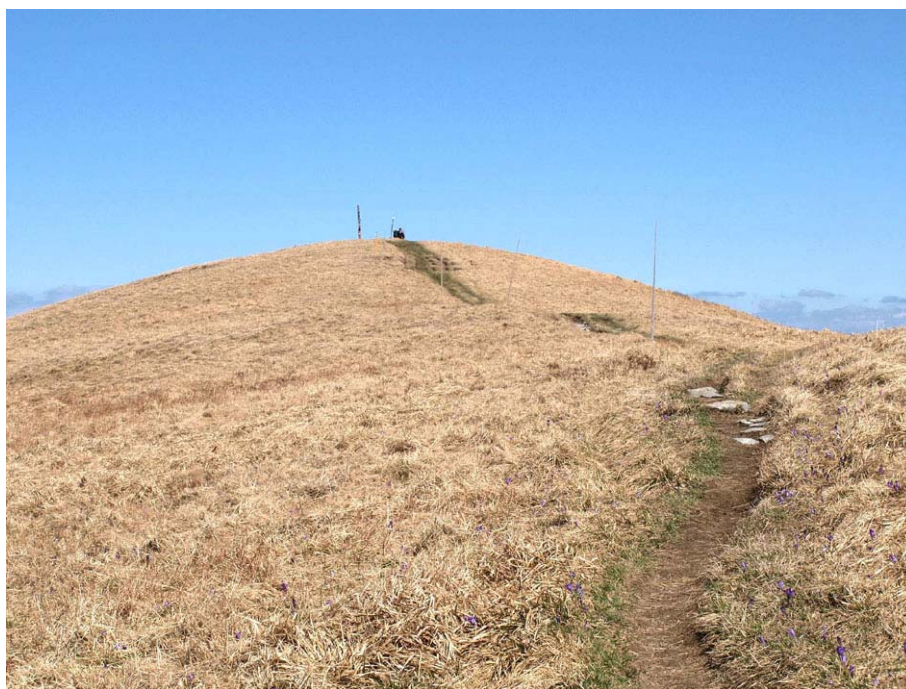
Położenie i charakterystyka

Wielka Fatra leży między Małą Fatrą a Tatrami Niżnymi. Długość pasma wynosi 40 km. Jest ono rozłożyste, mocno rozczłonkowane o złożonym układzie grzbietów i dolin. Najwyższy szczyt Wielkiej Fatry to Ostredok (1592 m). Oprócz niego osiem innych przekracza wysokość 1500 m. Znamionną cechą krajobrazu tych gór są rozległe, niezwykle widokowe połoniny. Powstały one w rezultacie wytrzebiecia lasów pod pastwiska w czasie kolonizacji wołoskiej. W najwyższych partiach nadal są one wykorzystywane przez pasterzy. Wielka Fatra paradoksalnie – chciałoby się powiedzieć, jest mniejsza pod względem obszaru i niższa pod względem wysokości od Małej Fatry. Niemniej jednak to do niej należy nazwa „Wielka”. Nie jest to przypadek. Podział na Małą i Wielką Fatrę ma bowiem związek z obszarem pastwisk, nie zaś z wysokością czy też powierzchnią gór. Wielka Fatra z racji większej dostępności była bardziej użytkowana i posiadała więcej pastwisk niż bardziej skalista i mniej dostępna Mała Fatra. Wielka Fatra to inaczej „Wielkie Pastwiska”, a Mała Fatra to „Małe Pastwiska”. Wędrując przez nią warto pamiętać, iż góry te zachowały najbardziej naturalny krajobraz, zbliżony do Karpat Rumuńskich. Na polanach wciąż wypasa się owce w identyczny sposób, jak wieki temu. W czasie sezonu pasterze nadal mieszkają w bacówkach, a owce w przenośnych zagrodach (koszarach).

Przez całe pasmo przebiega czerwony szlak, określany jako *Velkofatranská Magistrala* z bardzo wieloma punktami widokowymi. Liczy on 49 km długości i rozpoczyna się w miejscowości Lubochňa, wiedzie przez Kľak (1394 m), Ploskę (1532 m), Ostredok (1592 m) do Krížnej (1574 m). Od Ploski odbija zielony szlak tzw. *Liptovska Magistrala*. Wiedzie przez Rakytov (1574 m), Skalną Alpę (1463 m), Małą Smrekovicę (1485,4 m) Šiprůň (1461 m), kończąc się w Ružomberoku. Wielka Fatra dysponuje dość skąpą bazą noclegową. Wystarczy powiedzieć, że znajduje się tu zaledwie jedno schronisko turystyczne – Chata pod Borišovom. Oprócz tego do dyspozycji wędrowców jest kilka *utulni* – szałasów turystycznych, nierzadko o przyzwoitym standardzie.

Na najwyższy szczyt Wielkiej Fatry

Przygodę z Wielką Fatrą warto rozpocząć od wycieczki na Ostredok. Prowadzi nań kilka szlaków, co umożliwia realizować wiele wariantów wejścia i zejścia. I tak, z zachodu z Błatnicy wybiega szlak żółty, a następnie zielony. Od południa z miejscowości Stare Hory na Ostredok można się dostać szlakiem niebieskim, potem od Krížnej czerwonym. Od wschodu z wioski Liptovské Revúce na Ostredok są dwie opcje podejścia. Pierwsza to szlak zielony, a następnie (od Rybovskego Sedla) czerwony na szczyt. Druga opcja to szlak żółty i później (od Chyžky) czerwony. Z licznych wariantów proponuję wybrać szlak zielony z osady Liptovské Revúce. Zaczyna się on w przysiółku Vyšná Revúca. W pobliżu tablice z drogowskazami. Spod parkingu znajdujące-



Szczyt Ostredoku

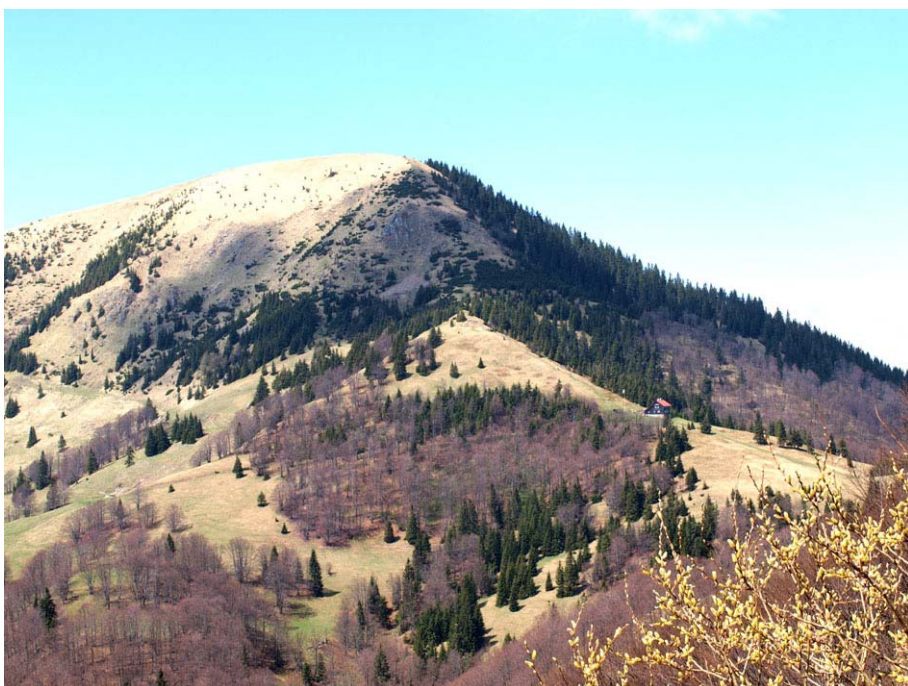
go się obok sklepu spożywczego kierujemy się szerokim gościńcem wiodącym Suchą Doliną. Niebawem odsłania się wspaniały widok na połoniny. Z tej perspektywy widać, jaką różnicę wysokości przyjdzie nam pokonać. Szeroki trakt zamienia się w węższą ścieżkę. Widać stąd charakterystyczną sylwetkę Krížnej. Wkrótce zagłębiemy się w las, a szlak robi się coraz stromszy. Wnet ścieżka opuszcza las i dane nam jest znów podziwiać



Szlakowskaz na Ostredoku

Ostredok, punkt kulminacyjny wycieczki. Na wierzchołku rogal z nazwą szczytu i drogowskazy. Rozpościera się stąd imponująca panorama górską, która zadowoli każdego turystę. Wokół nas „morze” gór. Widać okoliczne szczyty Wielkiej Fatry, Niżne Tatry, Tatry Zachodnie i Wysokie, Małą Fatrę, Góry Choczańskie i Kremnickie Wzgórze. Od zachodu zbocza Ostredoka opadają ku Dolinie Dedoszowej (górne piętro Doliny Gaderskiej), natomiast wschodnie – ku źródłiskom Revúcy w Suchoj Dolinie (Suchá Dolina) i do Doliny Zielonej (Zelena Dolina). Cisza i przepiękne widoki współtworzą niepowtarzalną atmosferę, która sprawia, że chciałoby się zostać tu na długo. Czas jednak płynie nieubłagalnie i pora wracać.

Jako drogę zejścia z Ostredoka można wybrać szlak czerwony, a następnie – ze szczytu Chyżky – żółty do Vyšnej Revúcy. Schodząc mamy przed sobą Suchý Vrch (1550 m) o wyraźnym skalistym wierzchołku. Szlak go trawersuje, można jednak podejść na sam szczyt, skąd rozpościera się śliczny widok na sąsiednie góry. Podążając dalej widzimy w dole po lewej stronie szlaku szałas pod Suchym Wierchem. Ścieżka obniża się, mija Koniarki (1400 m) i dociera na Chyżky (1340 m). Stąd przepiękny widok na południe na Borišov (1510 m), Chatę pod Borišovom i Ploškę (1532 m). Pozostaje teraz podążać za znakami żółtymi, które wiodą przez Dolinę Zieloną do punktu wyjścia – Vyšnej Revúcy. Zatoczyliśmy w ten sposób klasyczną górską pętlę.



Borišov

Križňą. Odtąd wędrujemy już odkrytym terenem. Wiosną łąki porastają krokusy tworząc piękny fioletowy „dywan”. Ścieżka jest bardzo słabo wydeptana, dlatego też należy zwracać uwagę na znaki. Powoli, z mozołem, osiągamy Rybovské Sedlo. Skrzyżowanie szlaków – od wschodu dociera tu szlak czerwony z miejscowości Donovaly przez Sedlo Veľký Šturec. Okolica zachęca do krótkiego odpoczynku.

Z Rybovského Sedla szlak pnie się ostro do góry. Nabieramy coraz szybciej wysokości. Jesteśmy na Rozcestie pod Križňą, a chwilę potem na samej Križnej (1574), trzecim co do wysokości szczycie Wielkiej Fatry. Widok stąd oszałamiający. W stronę południową podziwiać można połoniny niemal po horyzont. Krajobraz przywodzi na myśl Bieszczady czy, szerzej mówiąc, Karpaty Wschodnie. Križna charakteryzuje się wysokim na 50 m stalowym masztem przekaźnika telewizyjnego. Dojść stąd można w niedługim czasie na Kráľovú studňu (1365 m), miejsce występowania licznych źródeł. My jednak podążamy na południe, trawersując bezimienny szczyt o wysokości 1559,6 m. Przed nami Frčkov (1585 m), drugi co do wysokości szczyt pasma. Z wierzchołka interesujący widok na Rakytov (1567 m) – szczyt o piramidalnym kształcie, pośród wielkofatrańskich uznawany za najpiękniejszy. Z Frčkova czeka nas dość łagodne i przyjemne podejście na Ostredok.

Wielka Fatra to góry niezwykle, przypominające nasze Bieszczady, lecz wyższe od nich i odludniejsze, przez co jeszcze atrakcyjniejsze. Góry te, jak na razie, z sukcesem opierają się komercji i wszelakim nieprzemysłanym inwestycjom. Ruch turystyczny jest tu doprawdy niewielki, przez co można swobodnie obcować z przyrodą i cieszyć się do woli urzekającymi widokami połonin.

Czasy przejścia (bez postojów):

Liptovské Revúce (Vyšná Revúca) – Ostredok, szlak zielony, czerwony, 5 godz.

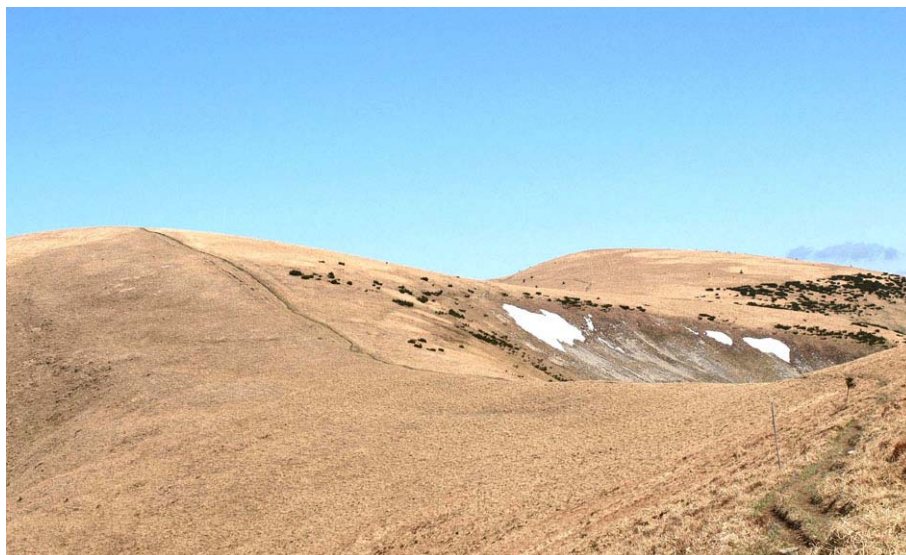
Ostredok – Liptovské Revúce (Vyšná Revúca), szlak czerwony, żółty, 3.15 godz.

Dojazd

Z centralnej Polski najlepiej kierować się na Kraków. Droga do Rabki stanowi część drogi krajowej nr 7. W Rabce skręcamy na Spytkowice i przez Jabłonkę dojeżdżamy do dawnego przejścia granicznego w Chyżnem. Następnie przez Tvrdošín docieramy do Dolnego Kubina. Dalej kierujemy się przez Ružomberok do Liptovskej Osady i tu skręcamy w prawo na Liptovské Revúce. Dojeżdżamy do przysiółka Vyšná Revúca. Bezpłatny parking jest pod sklepem spożywczym.

Pomocna w wędrowce po Wielkiej Fatrze jest niezmiennie od lat słowacka mapa *Velká Fatra* (arkusz 121), wydana przez Wojskowe Zakłady Kartograficzne (*Vojenský kartografický ústav* w Harmancu, a dostać można ją w specjalistycznych sklepach turystycznych.

Sebastian Jakobsch



Połoniny Wielkiej Fatry

Z zielnika Rostafińskiego (27)

Ruta (*Buta graveolens*); hodowana

- Woń odgania węże
- Mężczyznom pokolenie traci
- W potrawach używana wzrok ostrzy, dlatego zwłaszcza dla zegarmistrzów i snycerzy dobra

Rzepa (*Brassica rapa*)

- Pożywana wzrok jasny czyni
- Plastry na pulsach i głowie leczą ból głowy
- Polewka z suszonej leczy chrypkę

Rzeżucha ogrodna (*Lepidium sativum*)

- Płód w żywocie zabija
- W paraliżu nasienie trzymane pod językiem mowę przywraca
- Z figą nasienie utarte i w usta kładzione głuchotę oddala

Rzodkiew hodowana (*Raphanussativus*)

- Pożywana nie dopuszcza wypadać włosom
- Jedzona naczco broni długi czas od pijaństwa
- Wino skiśniałe naprawia
- Kto rzodkiew często jada temu włosy nie tylko nie wypadają, ale bujnie rosną
- Używana w pokarmach zmysły ostrzy
- Plastrowana puchlinę wywodzi
- Czopek w uszy włożony leczy ich szumienie i dzwonięcie



Wiosenna Narada Turystów Pieszych 2013 w Jaworze

W dniu 27. stycznia br. działacze z Oddziału PTTK „Ziemi Jaworskiej” w Jaworze zorganizowali Wiosenną Naradę Turystów Pieszych. Dzięki organizacji w ostatnich latach wielu znaczących imprez turystycznych, właśnie w Jaworze, miasto to jest znane większości przybyłym na spotkanie. Władze miasta, będąc bardzo pozytywnie nastawione do działalności naszego Towarzystwa, nie tylko miłym okiem patrzyły na nasz tu pobyt, ale wzięły czynny udział w naradach. Obecnością zaszczylicili m.in. Stanisław Laskowski (starosta), Michał Lenkiewicz (wicestarosta), Artur Urbański (burmistrz), Maria Piwko (wiceburmistrz) i Andrzej Madej (przewodniczący Rady Miasta Jawor). Oczywiście dając wyraz poparcia dla naszych działań



turystycznych władze miasta mają także swój cel. Chcą w ten sposób zachęcać do kontynuowania organizacji kolejnych imprez, które przecież są skierowane przede wszystkim ku mieszkańcom miasta, w tym młodzieży i dzieci. Przez dziesiątki lat działania tutaj Oddziału PTTK niejako wrosły one w codzienne życie. Jak bardzo są ważne, świadczy fakt, iż za tę właśnie działalność Rada Miejska w Jaworze nadała 31.10.2012 r. Henrykowi Antkowiakowi tytuł *Honorowego Obywatela Miasta Jawora*.

Narada zorganizowana została na zlecenie Dolnośląskiego Zespołu Turystyki Pieszej, który działa przy Porozumieniu Oddziałów PTTK Woj. Dolnośląskiego. Jego przewodniczącym, a zarazem prowadzącym Naradę jest właśnie Henryk Antkowiak, wywodzący się z Jawora. Na styczniowym spotkaniu ustala się najważniejsze imprezy w turystyce pieszej, jakie odbędą się w nowym roku w województwie. Wyjątkiem jest Ogólnopolski Zlot Turystyki Pieszej, zaplanowany w Gdańsku (19-22.09.2013) oraz Ogólnopolski Wysokokwalifikowany Rajd Pieszy (6-21.07.2013) Oddziału Świętokrzyskiego PTTK. Ze względu na przypadającą właśnie 150-rocznicę Powstania Styczniowego KTP ZG PTTK organizuje Ogólnopolski Rajd Indywidualny. Na Dolnym Śląsku w ramach tego jubileuszu zorganizujemy mniejsze i większe imprezy oraz spotkania i wycieczki, podczas których poruszany będzie temat Powstania, jego roli w dążeniu do niepodległości oraz następstw dla następnych pokoleń.

W październiku 2013 r. odbędzie się Dolnośląski Zlot Przodowników TP. Jest to niezwykle ważna impreza. Pozwala ona na spotkanie kadry, co skutkuje nowymi kontaktami, nowymi pomysłami, nowymi imprezami. Trudu organizacji podjęli się działacze z oddziałowej KTP w Kłodzku. W maju 2013 r. Oddział Zakładowy PTTK przy Hucie Miedzi w Legnicy zorganizuje XII Złaz Turystów Pieszych Dolnego Śląska do Siedlęcina. Oczywiście po raz kolejny turyści będą mogli wziąć udział w Indywidualnym Rajdzie „6 x Dolny Śląsk” organizowanym przez Zdzisława Nowocienia z Jawora, który prowadzi go już od 25 lat, stąd z okazji tak wspaniałego jubileuszu został on wyróżniony medalem 60-lecia KTP ZG PTTK. Takie samo wyróżnienie nadano Oddziałowi PTTK „Ziemi Jaworskiej” w Jaworze. Wszystkie te wyróżnienia wręczał osobiście Stanisław Łuć, przewodniczący KTP ZG PTTK.

Krzysztof Tęcza

Łużyce i my – we Wrocławiu

Otrzymałem propozycję, aby napisać opracowanie na temat: „Dlaczego środowisko wrocławskie PTTK jako jedyne w Polsce zajęło się problemem „Łużyce i Łużycanie”? Sprawa jest wyjątkowo prosta i postaram się krótko wyjaśnić.

Po 1945 r. napłynęła na tzw. Ziemie Odzyskane ludność różnego pochodzenia. Pojęcia Ziemie Zachodnie – Ziemie Odzyskane były wtedy tak tożsame, że słynna ogólnopolska wystawa otwarta 22.07.1948 r. nosiła nazwę „Wystawa Ziem Odzyskanych”. Tego samego dnia inaugurowany został polski Uniwersytet Wrocławski pod im. B. Bieruta. Niewiele później, na początku lat 50., pojawili się na nim obcokrajowcy. Chłopcy niczym się nie wyróżniali, ale dziewczyny paradowały na co dzień w serbskich strojach ludowych, co musiało wzbudzać zainteresowanie wrocławian. Wiadomo było, że granicą zachodnią Ziem Odzyskanych była Nysa Łużycka, a więc rozumiano, że za tą rzeką są już Łużyce. Oczywiście środowiska naukowe historyków i etnografów wiedziały, że Nysa Łużycka była osią osadniczą Łużyczan, a nie granicą ich posiadłości. Granicą Łużyc i Łużyczan była rzeka Kwisa, prawy dopływ Nysy Łużyckiej. Tak więc określenie polskie Ziemie Odzyskane niekoniecznie było ścisłe, bo Łużyce należały do Polski tylko za Bolesława Chrobrego.

W rozmowach towarzyskich wewnątrz PTTK ks. dr Jerzy Pawlik informował nas w latach 70., że z tego terenu pomiędzy Nysą Łużycką a Kwisą zostało wysiedlonych na zachód w latach 1946-1947 siedem wsi całkowicie łużyckich. Ich ludność potraktowano jako element do wysiedlenia, nie zastanawiając się nad jej narodowością. Nie muszę dodawać, że było nam „przykro i głupio” (jak w piosence Bułata Okudźawy) za ignorancję naszych władz wysiedleńczych. Pierwsi tematem Łużyc zainteresowali się przewodnicy, bo żeby oprowadzać i mówić, trzeba coś wiedzieć. Tadeusz Steć w swoim przewodniku „Sudety Zachodnie” (1954) pierwszy używa określeń: żupa Zagodz i przysłup łużycki. Tu trzeba wyjaśnić, że znane nam określenie „żupa solna” pochodzi właśnie z jęz. serbołużyckiego, a oznacza okręg, region. Również określenie „żupan” to człowiek zarządzający taką jednostką administracyjną lub strój takiego człowieka. W Polsce istnieje wiele nazw ze źródłosłowem *gozd*, co oznacza las, np. Gozdnicza – miasto w pow. żagańskim. A więc Zagodz to po polsku Zalas lub Zalesie. A przysłup łużycki tak powszechny w dorzeczu Bobru, Kwisy i granicznej Nysy Łużyckiej charakteryzuje się zastrzałami podwójnie łamanymi (oczywiście w budownictwie drewnianym). Swoje pierwsze uprawnienia przewodnickie piszący te słowa otrzymał w 1957 r. Efektem tego krajoznawczego rozpoznania, że Dolny Śląsk kończy się na Kwisie (a nie na Nysie Łużyckiej) była broszura „Łużyce Wschodnie” (1975). „Przez pewien czas posługiwano się dla tej części Łużyc terminem „Górne”, jako że faktycznie jest to część „Łużyc Górnych”, ale tylko ich część wschodnia. Autor zaproponował więc dla precyzyjniejszego określenia terytorium przyległej do Dolnego Śląska dzielnicy nazwę „Łużyce Wschodnie”. Jej granicą zachodnią z zaprzyjaźnionym państwem jest Nysa Łużycka. Nazwa ta powoli znajduje sobie prawo obywatelstwa”, jak pisał K. R. Mazurski, redaktor i współautor tej pozycji.

Jest jeszcze jedno znamienne zdarzenie, które miało miejsce w 1974 r. Ciągnęło nas na te Łużyce tak dalece, że wykorzystaliśmy każdą okazję. W tym wypadku specjalne międzynarodowe porozumienie transgraniczne. I stała się rzecz niesłychana: przekraczaliśmy granicę państwową, polsko-NRD-owską na podstawie kartki papieru z podpisem wojewody wrocławskiego. Odprawiający nas oficer wszedł do autokaru i zaczął wyczytywać nazwiska z tej kartki papieru. Wyczytany się zgłaszał; nie było nieobecnych – każdy chciał poznać



ŁUŻYCKIE IMPRESJE

Okładka wydawnictwa opr. przez Janusza Zarembę na seminarium w 1979 r.

na. Byliśmy wtedy w Budziszynie i Chociebużu, dwóch stolicach Górnych i Dolnych Łużyc. A także odwiedziliśmy „Domowinę” – centralną organizację kulturalno-społeczną Łużyczan. Przywiozłem stamtąd mapę i wyrób z haftem łużyckim, który stał się później motywem graficznym na okładkę autorstwa Marka Staffy do broszury na „Seminarium Łużyckie” w 1979 r. (o czym niżej). Po głębszym wejrzeniu w temat okazuje się, że nie była to tylko „wycieczka historyczna”. Miała ona swoje dalsze konsekwencje w rodzinnym Wrocławiu, w postaci Ekspozycji Czasopism Łużyckich w Klubie Turysty PTTK przy Rynku 38. Na trop tej wystawy naprowadziły mnie po latach ślady po pinezkach na moich zbiorach tematycznych, które brały udział w tej wystawie. Wystawę w grudniu 1974 r. organizował Zbigniew Szkolnicki, Instruktor Krajoznawstwa Polski PTTK, bazując na materiałach przywiezionych przez nas z Łużyc. W moich zbiorach zachowało się słowo wstępne do tej wystawy, w którym jej twórca wymienia siedem tytułów dzienników i czasopism ukazujących się na Łużycach. Wystawę klubową uzupełniały fotografie i widokówki przywiezione z łużyckiej wyprawy. Towarzyszył jej artykuł tegoż autora pt. „Prasa na Łużycach”, zamieszczony w ukazującym się we Wrocławiu kwartalniku PTTK „Materiały Krajoznawcze”. Nasza ekspozycja była tylko skromnym dodatkiem do ważnej wystawy wydawnictw łużyckiej „Domowiny”, jaką zrobiła Biblioteka „Ossolineum” w listopadzie 1974 r. Zapoczątkowało to bliższą współpracę „Domowiny”, co doprowadziło do wspólnych wydawnictw.

Nie jest przypadkiem, że dwa z trzech Międzynarodowych Turystycznych Zlotów Przyjaźni, jakie odbyły się po polskiej stronie, miały swoje zakończenie na Łużycach, a mianowicie w Zgorzelcu w 1967 r. i w Leśnej koło Lubania w 1973 r.

Łużyce. A że nie była to tylko prywatna wizyta odnotowana w mojej pamięci, świadczy notatka prasowa zamieszczona we wrocławskim tygodniku „Wiadomości”: „Na początku listopada udała się na Łużyce w pobliże Budziszyna grupa działaczy wrocławskiego okręgu PTTK z zamiarem nawiązania przyjacielskich kontaktów. Zostali oni bardzo gorąco przyjęci przez Łużyczan, z którymi wymieniono wiele wydawnictw i pamiątek, także adresy. (...) W podziw wprawiły nas liczne wydawnictwa albumowe i literatury pięknej, prezentujące bogatą kulturę i dorobek duchowy tego słowiańskiego narodu. Przecież Łużyczan jest już tylko 100 tysięcy dusz”. To tutaj poległo kilkanaście tysięcy naszych rodaków w ciężkich bojach II Armii Wojska Polskiego z zaciekle walczącymi hitlerowcami. Grupa działaczy pamiętała o tym – odwiedziono pomnik upamiętniający bohaterstwo żołnierzy polskich w Chróścicach koło Budziszyna.



Spotkanie z łużyckim nauczycielem 23.09.1979 r. w szkole im. Jakuba Barta-Čišińskiego w Pančicach-Kukowie. Od lewej: Bronisław Turoń, Krzysztof R. Mazurski, Janusz Zaremba, X, Andrzej Hyczak, nauczyciel, X. Jerzy Pawlik. Fot. Jerzy Załęski

Z tego pierwszego zachował się „Opis Krajoznawczy” pióra Kazimierza Miedzińskiego, a z drugiego: opis krajoznawczy w trzech językach, karnet uczestnictwa nr 51 ze szczegółowym programem Zlotu i sprawozdanie końcowe kierownika zlotu (39 str.).

Ostatnim akcentem łużyckim, jaki pamiętam z Wrocławia, było dwudniowe „Seminarium Łużyckie” zorganizowane przez Komisję Krajoznawczą Oddziału Wrocławskiego PTTK 22-23.09.1979 r. i kierowane przez Andrzeja Hyrczaka. Uczestnicy przejechali i zwiedzili miejscowości na trasie Zhorjelec – Budyšin – Pančicy – Wotrow – Chrósćicy – Różant – Ralbicy – Budišin i z powrotem do granicy państwa w Zgorzelcu. Tu znowu trzeba dodać notkę toponomastyczną, że nasz Zgorzelec (niem. Görlitz) to po łużycku Izgorelik (1071 r.), a po czesku Zhorjelc. W części referatowej tego seminarium zostały wygłoszone trzy wystąpienia:

- Historia Łużyczan po 1944 roku, dr Jerzy Pawlik,
- Poezja Jakuba B. Čišinskiego, doc. dr hab. Jacek Kolbuszowski,
- W służbie humanistycznej idei, poświęcone Janowi Skali, poecie i działaczowi narodowemu Łużyczan w XX w., wygłoszone przez autora.

Co było dalej, co utrwaliło się w świadomości społecznej i w turystyce, należy pytać po obu stronach polsko-łużyckiej granicznej Kwisy

Janusz Zaremba

SZCZEŚLIWA TRZYNASTKA czyli o XIII Śladowym Spotkaniu w Jaworkach

Po raz trzynasty turyści narciarze przybyli „na zew”, by przemierzać na nartach górskie drogi, ścieżki i hale, tym razem w Beskidzie Sądeckim i w Małych Pieninach. Spotkaliśmy się w Jaworkach, które były naszym punktem wypadowym. Kwaterę mieliśmy w centrum Jaworek w jednym z domów w Dolinie Czarnej Wody. Ta lokalizacja okazała się strzałem w dziesiątkę, na Spotkanie przybyło 31 osób. Rzućmy okiem na listę przybyłych. Skąd towarzystwo przyjechało? Z Bochni, Katowic, Kościerzyny, Krakowa, Mysłowic, Ogrodzieńca, Ostrowa Wielkopolskiego, Stavanger, Tarnowa, Torunia, Wrocławia, Zawiercia. Najwięcej narciarzy reprezentowało Kraków i Zawiercie. Są to głównie członkowie klubów narciarskich i turystycznych, ale także Towarzystwa Kaszubskiego „Centrum” oraz Klubu „Łosia”. Średnią wieku tego zacnego grona obniżyła prawie pięcioletnia Zosia z sekcji pieszej, czyli Klubu „Łosia”. Zresztą ta sekcja okazała się narciarską, tyle że zjazdową. Ścisłe grono redakcji „Na Szlaku” reprezentował Paweł Rumiński, a grono stałych współpracowników redakcji reprezentował niżej podpisany.

Spotkanie trwało cztery dni. Już od czwartku narciarze pojedynczy, bądź w małych zespołach zmagali się ze śniegami Pasma Radziejowej i Małych Pienin od Palenicy przez Durbaszkę, Wysoką, Rozdziele po Wielki Rogacz. Kilkuosobowy zespół dotarł do bacówki na Obidzy, zaglądano do Doliny Białej Wody i do Czarnej Wody. Jeden z uczestników dotarł do Jaworek idąc ze Szczawnicy na Przełęcz pod Jarmutą, dalej na grzbiet i przez Wielki Wierch do Durbaszki, po czym szerokimi zakosami w dół do szosy i do wsi. W czwartek 28 lutego narciarzom sprzyjała pogoda, było słonecznie, w piątek nieco gorzej, gdyż niebo zasnuły chmury i nawet wczesnym





popołudniem coś próbowało padać. Wietrzny i pochmurny sobotni poranek nie zapowiadał dobrej pogody, ale już wychodząc na trasy przed godz. 9 wiedzieliśmy, że szykuje się piękny dzień. Pięknie i słonecznie, choć chwilami wietrznie, było także w niedzielę. Dlaczego „zmagali się” ze śniegami? Śniegu było dużo, pokrywa miejscami około metra grubości, jednak jego stan w różnych miejscach nie zawsze umiłał życie. Na wystawionych na wiatr halach i grzbiecie Małych Pienin zalegała twarda skorupa przewianego i uklepanego przez mróz

i wiatr śnieżnego gipsu. Takie podłoże nie jest najlepsze dla nart śladowych i biegowych, nabranie zbyt dużej prędkości na zjeździe czasem okazywało się zgubne i czasem koleżanki i koledzy w gwałtowny sposób „stykali się z podłożem”. Taki stan śniegu miał jednak tę zaletę, że nigdzie nie trzeba było torować, narty nie zapadały się, a buty nie moczyły. Nieco trudności sprawiały ubite skuterami strome odcinki dróg, miejscami zalodzone. Wtedy trzeba było schodzić „na butach”.

Najważniejszym dniem Spotkania była sobota 2 marca. Wyruszyliśmy na Przehybę, by wziąć udział w otwarciu tras biegowych w Beskidzie Sądeckim. Oficjalnie był to I Rajd Szlakami Narciarskimi Pasma Radziejowej. Okazało się, że główna część imprezy miała się odbyć w niedzielę, zaś w sobotę na szczyt docierali „harcownicy” i „straż przednia”, czyli niewiele, coś ponad dwadzieścia osób. Oprócz tych oficjalnie zgłoszonych stawiliśmy się my w sile szesnastu osób. Główna grupa liczyła dziesięciu narciarzy, grupa „wyrwynych” trzy, jeden narciarz solo i „podsekcja piesza” licząca dwie osoby. Główna grupa dotarła do schroniska zgodnie z założeniami o godz. 12. Wędrowaliśmy drogą w Dolinie Starego Potoku, stokówką i górnym odcinkiem narciarskiego szlaku czarnego Szlachtowa – Pieniężna – Przehyba. „Wyrwni” dotarli prawie godzinę po nas, jednak ich trasa była sporo dłuższa i trudniejsza. Mieli do pokonania podejście na Radziejową. Wędrowali grzbietem nad Czarną wodą do głównego grzbiecia Pasma Radziejowej i dalej na zachód do schroniska. Piesza dwójka wędrowała główną trasą śladowców. W schronisku, poza posiłkiem, obejrzelśmy w TV walkę Justyny Kowalczyk z koalicją norweskich biegaczek na dystansie 30 km. Po biegu ruszyliśmy w powrotną drogę do Jaworek. Po pokonaniu trudności górnego odcinka czekał nas nieco trudny zjazd stokówką, a w nagrodę wspinała jazda drogą w dolinie. Było to ponad 4 km wspaniałego, szybkiego i, co najważniejsze, bezpiecznego zjazdu. Dla takiej frajdy warto było tu przyjechać i pofatygować się nieco pod górę. Na kwaterę wróciliśmy, gdy kończyła się pierwsza seria konkursu drużynowego w skokach na Mistrzostwach Świata. Zdążyliśmy obejrzeć finałową serię zakończoną czwartym miejscem naszych skoczków ze stratą 0,8 pkt. do Niemców. Co się działo potem, to wiemy. Podium przypadło jednak naszym reprezentantom. Sekcja piesza (zjazdowa) korzystała w tym czasie z możliwości, jakie dają urządzenia stacji narciarskiej w Jaworkach (Zaskalskie). Mała Zosia z rodzicami i znajomymi ujeżdżała trasy zjazdowe w pobliżu jaworskiej „kanapy”.

Jako że „nie samą jazdą narciarz żyje”, czas wypełniły nam wieczorne spotkania. Omawialiśmy wtedy przebyte trasy, planowaliśmy następne,





dzieliliśmy się wspomnieniami z mijającego powoli sezonu. Zobaczyliśmy m.in. relacje fotograficzne i filmowe z Wędrówek Północy (trasa litewska) i z Rajdu Jurajskiego. Zbieracze punktów do GON weryfikowali swoje punktowe zdobycze u Andrzeja Stróżeckiego. Nadwyżki energii, jakie pozostały po trudach „śladowania”, można było wytracić grając w ping-ponga. Nie zabrakło turystycznej piosenki w sobotni wieczór, nie obyło się bez dyskusji na temat przyszłości Spotkań. W tej materii nastąpiła zmiana, jeśli chodzi

o lokalizację. Przyjęto zasadę, że bazy Spotkań będziemy lokować w miejscach łatwo dostępnych komunikacyjnie, bez konieczności dojścia przez góry. Chodzi nie tylko o łatwość dojazdu, ale głównie o to, by powroty z tras następowały jako zejścia do bazy, a nie podejścia do schroniska położonego ponad doliną. W ten sposób można oszczędzić nieco sił przed następnym wypadem w góry. Tym samym upadł pomysł organizacji jubileuszowego XV Spotkania na Turbaczu, czyli w miejscu, gdzie się to wszystko zaczęło. Póki co, w przyszłym roku **XIV Śladowe Spotkanie odbędzie się w Beskidzie Niskim** na przełomie lutego i marca. Konkretnie miejsce zostanie ustalone po wnikliwej analizie bazy noclegowej, warunków śniegowych i możliwości dojazdu.

Słoneczny niedzielny poranek dość szybko wygonił towarzystwo w doliny, na grzbiety, drogi i stoki. Odwiedzono Białą Wodę, grzbiet nad Czarną Wodą, większa grupka przebyła szlak żółty ze Szlachtowej pod Wielki Wierch (z wejściem na wierzchołek), po czym udała się na Durbaszkę i minawszy schronisko wróciła do Jaworek. Piękna pogoda, bezchmurne niebo w pierwszej części dnia dostarczyły wspaniałych widoków na całe Pieniny, Małe Pieniny, Pasma Radziejowej i Tatry. Wczesnym popołudniem towarzystwo zaczęło się rozjeżdżać. Było to bardzo udane Spotkanie pod względem turystycznym i towarzyskim. Kwatera okazała się wygodna, dopisała pogoda, nie zabrakło śniegu. Poza kilkoma bolesnymi, co się zdarza, upadkami nie było kontuzji uniemożliwiających wędrówkę na kolejnej trasie. Przeszliśmy tyle, ile się dało, zachowując umiar i pełne bezpieczeństwo. Przemierzyliśmy niemal wszystkie zaplanowane trasy lub ich warianty. Jeden przypadek „ucieczki” wypiętej narty zakończył się szczęśliwie i zgubę odnaleziono.

To tyle relacji z kolejnej udanej towarzysko – turystycznej imprezy. Jeśli powyższy opis zachęcił kogoś do udziału w następnym Spotkaniu Śladowym to już teraz zapraszam. Naprawdę warto!

Juliusz Wystouch

Od Redakcji

Zapraszamy do obejrzenia [galerii nadestanych zdjęć](#).



ŚCIEŻKA PRZYRODNICZA „GOGOŁOWICE”

W 2006 r. została otworzona Ścieżka Przyrodnicza Gogołowice dzięki Stowarzyszeniu na Rzecz Rozwoju Wsi Gogołowice przy udziale środków finansowych pozyskanych z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej we Wrocławiu – Oddział w Legnicy, Powiatowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Lubinie oraz Urzędu Gminy w Lubinie. Ścieżka stanowi atrakcję turystyczno-rekreacyjną, pełni też rolę edukacji ekologicznej dla mieszkańców Gogołowic oraz dla indywidualnych turystów i zorganizowanych wycieczek szkolnych.

Gogołowice to wieś położona przy drodze z Prochowic do Lubina. Posiada bardzo wygodny dojazd z Lubina i Wrocławia oraz Prochowic. Środowisko przyrodnicze Gogołowic jest typowe dla tej części Polski. Najważniejszymi jego składnikami są ogródki przydomowe, zieleń przydrożna, przykościelna i związana z wiejskim stawem. Ścieżka obrazuje współlistnienie różnych środowisk i ich wzajemne oddziaływanie na siebie. Cały program poznawania ścieżki podzielony jest na następujące części:

1. **Historia kształtowania się środowiska przyrodniczego Gogołowic** – jest tu pokazana historia, jak w ciągu wieków, dla jakich potrzeb sadzono drzewa, po co budowano stawy wiejskie, dlaczego powstawały parki przydworskie i przypałacowe.

2. **Owadzia stołówka** – przy odpowiednim doborze gatunków roślin ogród skalny pełni dużą rolę w ochronie owadów. Nie sposób przecenić jego roli jako miejsca zdobywania pokarmu na przedwiośniu i wczesną wiosną przez motyle i trzmiele. Jest to szczególnie ważne, kiedy przeciągająca się słoneczna pogoda już końcem lutego bądź początkiem marca wybudza z zimowego snu motyle. Wysokie temperatury, jak na tę porę roku, przyspieszają metabolizm motyli, a co za tym idzie – zużycie resztek substancji zgromadzonych na sen zimowy. Przy braku możliwości posilenia się (ubóstwo kwitnących o tej porze roku roślin) wiele z tych motyli zginęłoby z głodu nie doczekawszy kwitnienia innych roślin. Duża liczba owadów stale odwiedzających ogród skalny to pokusa dla zwierząt drapieżnych, wśród których najważniejsze są pajęczaki reprezentowane przez kosarze i pająki.

3. **Drzewa i krzewy ozdobne** – na terenie przyszkolnym spotykamy wiele roślin zdobiących go wzdłuż ścieżki i ogrodzenia, jest tu wiele odmian hodowlanych gatunków iglastych. Odmiany powstałe w drodze selekcji, krzyżowania i innych specjalistycznych zabiegów, często znacznie różnią się od form występujących dziko w naturze. Rodzinę cyprysowatych reprezentuje tu żywotnik zachodni (*Thuia occidentalis*), którego dwie odmiany rosną na terenie przyszkolnym. Rodzinę sosnowatych *Pinaceae* reprezentują dwa gatunki rodzaju sosna (*Pinus*), jeden gatunek świerka (*Picea*), jeden gatunek jodły (*Abies*) oraz jeden gatunek modrzewia (*Larix*). Pewną osobliwością Gogołowic jest obecność w ogrodach starych, obficie owocujących okazów pigwy pospolitej (*Cydonia oblonga*), drzewka owocowego, bardzo rzadko uprawianego na Dolnym Śląsku. Częściej wykorzystywane jest ono w szkółkarstwie jako podkładka pod szlachetne odmiany róż.

4. **Drzewa i krzewy owocowe** – są tu opisane gatunki drzew owocowych rosnących w okolicy. Miejsce pośrednie między drzewami uprawianymi dla celów spożywczych i ozdobnych zajmuje morwa (*Morus alba*) z rodziny morwowatych. W przeszłości, prócz wykorzystywania jej owoców, liści używano jako pokarmu jedwabnika morwowego (*Bombyx mori*), jeszcze do niedawna hodowanego do produkcji jedwabiu. Z jednego oprzędu poczwarki uzyskiwano około 1,5 km nici.

5. **Krzewy i drzewa dziko rosnące** – stanowisko obejmuje drzewa rodzime dziko rosnące i ich środowiska.

6. **Staw wiejski** – jest on płytkim, sztucznym zbiornikiem wodnym, najczęściej budowanym dla hodowli ryb. W większości przypadków istnieje możliwość całkowitego odprowadzenia wody dzięki urządzeniom hydrotechnicznym. Roślinność wodna i błotna jest tu typowa dla małych zbiorników wodnych. Mimo sztucznego pochodzenia stawy odznaczają się bogactwem fauny z powodu dużej żyzności i stąd obfitości pokarmu roślinnego. Ważne jest też duże tempo przyrostu biomasy, możliwe w płytkich, silnie nagrzewających się wodach. Takie warunki są idealne dla wczesnych stadiów rozwojowych płazów.

Jerzy Maciejewski

Szkoła przetrwania czy...

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami... – a wcale nie, bo całkiem blisko żyli sobie ludzie, którzy wędrowali po górach i nizinach, pływali kajakami, wspinali się, jeździli na rowerach, biwakowali i spędzali wieczory przy ogniskach. Co ciekawe, nie było „szkół przetrwania”, a pojęcie *survival* notowano tylko w słownikach, nie zaś w niemal powszechnym użyciu. Prekursorem tej formy spędzania czasu jest słynny podróżnik i poszukiwacz przygód Jacek Pałkiewicz. Gdy słowo „survival” okrzepło we współczesnej polszczyźnie, zaczęły się mnożyć szkoły i obozy przetrwania. Zaczęło się to pod koniec lat 80. XX w. i trwa do dzisiaj. A kiedyś... Kiedyś nie było „szkół przetrwania”, było natomiast harcerstwo. Takie tradycyjne, uczące młodych ludzi od zucha po starszego harcerza, jak nie zgubić się w lesie, co robić, gdy noc zastanie w górach, jak założyć biwak, opatrzyć ranę itd., itp. Mniejsza o szczegóły. Inne były rozrywki młodych i starszych, wolny czas spędzało się na podwórku, boisku, codzienny ruch był czymś zwyczajnym. Teraz życie pędzi do przodu, nie ma na nic czasu. Dzieciaki słęczą nad lekcjami, wypełniają jakieś „karty pracy” i testy, a nim się człek obejrzy – kolacja i spać. Nic dziwnego, że zaganiani rodzice i nie mniej zaganiane dzieci i młodzież korzystają z ofert szkół przetrwania i podobnych instytucji. To dość proste rozwiązanie, choć kosztowne, pozwalające na przeżycie przygody, nauczenie się czegoś innego poza obsługą komputera, odrywające od codziennych zajęć. Nie każdy ma możliwość zorganizowania tygodniowego lub dłuższego wypadu w góry, nad wodę, gdziekolwiek. Gonimy za pieniędzmi, karierą, a nawet zwyczajnie tracimy z oczu wartości inne niż materialne. Trzeba zapewnić rodzinie godne życie, czyli wygodne mieszkanie lub dom, samochód albo i dwa, najnowsze elektroniczne gadżety, których nazw nawet nie usiłuję przytaczać, bo i tak nie wiem, o co w nich chodzi. Tak to się kręci. Na ratunek przychodzą „szkoły przetrwania”, rozmaite turnusy z takim że programem dla młodszych i starszych. A gdyby tak...



Na Pilawie z czwartoklasistami i młodszym rodzeństwem

Gdyby tak raz w miesiącu zapomnieć o karierze, pieniądzach, problemach typu „*bo samochód nie pasuje mi do spinek*” (W. Młynarski), wziąć do ręki mapę najbliższej okolicy, nawet skonfrontować jej treść z satelitarnym zdjęciem w „goo...” i zaprosić swoje dzieciaki na pieszą, rowerową, narciarską czy inną wycieczkę. Rzecz jasna, można się przy jej organizacji posiłkować swoim samochodem, komunikacją publiczną, wypożyczalnią kajaków, bądź innymi usługami. Wiadomo, na pustyni nie żyjemy, trzeba gdzieś dojechać, a sprzęt nie zawsze ma się swój. Zacząć można, a nawet trzeba, gdy tzw. latorośl skończy cztery lata. Dzieci są wtedy ciekawe świata i wszelkich nowości. Oczywiście trzeba robić to z głową i nie można kazać czterolatкови iść z Chochołowskiej na Jarząbczy albo na turę wokół Krakowa. Wycieczki powinny być delikatnie wydłużane, a stopień trudności terenowych podnoszony. Małolaty z natury uwielbiają rozmaite górki, wąwozy i wszelkie „krzywizny”. To jest skala właśnie dla takich małych wędrowców. Po kilku takich wypadach dzieciak „zaskoczy”, no, chyba że jest wybitnie „przyspawany” do samochodowego fotela i nijak się go nie ruszy. W wakacje można pojechać do jakiejś górskiej miejscowości, wziąć pokój



Nocleg w bazie namiotowej to dobra zachęta do wędrowki

jest motywacja. Trzeba wiedzieć, dokąd się idzie i co może sprawić, że 5-, 8- czy 10- letni turysta nie „zawiesi się” na trasie. Celem może być schronisko, skała, wodospad, jaskinia, skalny labirynt (ostrożnie!), wspaniała panorama z wierzchołka. Przy tym wszystkim pamiętajmy o tak oczywistych rzeczach, jak upływ czasu – nie narażajmy dzieci na konieczność powrotu po ciemku, zmienność pogody – spadek temperatury, burza, deszcz, śnieg, gęsta mgła, silny wiatr deprymują nie tylko młodych wędrowców (vide: *WiB „Przypadek Bereniki”*), odpowiednie tempo, wyposażenie i ubiór. Zapewniam, że dwa, trzy wypady w góry ze stałą bazą dadzą nam informację, czy nasza pociecha wyrośnie na turystę, czy nie. Nie robić niczego na siłę. Jeśli po takich wyjazdach pozostaną miłe wspomnienia i poznamy możliwości psychofizyczne dzieci, można ruszyć na 8-10 dniowe wyprawy od schroniska do schroniska. Pisałem już o tym kiedyś. Takie grupy górskie, jak Gorce, Beskid Sądecki, Beskid Żywiecki, Śląski, Karkonosze pozwalają na ułożenie wielu ciekawych tras, z którymi 6-, 10-latek poradzi sobie bez problemów. Podobnie na wodzie. Istnieje bardzo wiele możliwości 3-5-dniowych spływów niewielkimi pięknymi i nietrudnymi, a jednocześnie atrakcyjnymi rzekami. Żeby było miło, a przede wszystkim bezpiecznie, trzeba się o rzece, jak i o trasie górskiej dowiedzieć możliwie dużo. Są przewodniki, mapy, opisy tras i spływów. Dostęp do informacji jest niemal nieograniczony, trzeba tylko chcieć do nich dotrzeć. Jeśli wybieramy się w góry po raz pierwszy na wyprawę „od do”, warto podzwonić do schronisk i zarezerwować noclegi. Gdy młodzi turyści okrzepną w rzemiośle, nie jest to już niezbędne. Przypinamy karimaty i w drogę. Niewielkie problemy z noclegami bywają w weekendy, poza nimi jest całkiem spokojnie. Możemy korzystać nie tylko ze schronisk, ale także z baz namiotowych prowadzonych przez studenckie oddziały PTTK. Spanie w namiocie to dla dzieci prawdziwa atrakcja, a dotarcie do bazy jest niezłą motywacją do marszu. Wyprawa *stricte* namiotowa z 6-10-latkami to już wyższa szkoła jazdy. Tu potrzebne jest doświadczenie rodziców w tym zakresie. Doświadczenie z wędrowek po schroniskach jest przydatne, jeśli chodzi o samo wędrowanie, natomiast, gdy



Rodzinnie na ślądówkach




Nawet niewielkie górkę są dla dzieci atrakcją

tytułowej „szkoły...”. Nie neguję ich wartości, na pewno są potrzebne, jak wspomniałem, nie każdy ma możliwość samemu wychować młodego turystę, jednak jestem zwolennikiem tej dłuższej drogi. Podsumujmy. Do „szkół...” wstępują najczęściej osoby chcące przeżyć przygodę, a nie mające prawdopodobnie innych możliwości. Często rodzice nie są turystami, koledzy już tam są, to i ja chcę, to ciekawe i wciągające zajęcia. Domowa „szkoła turystyczna” to wieloletnie wspólne działanie, wspólna rodzinna przygoda. Niech każdy wybiera, co chce, byle nie na skrót i z głową. Kiedyś były, a może są gdzieś jeszcze SKKT – Szkolne Koła Turystyczno-Krajoznawcze. To była niezła nauka turystyki. Obecnie jest trochę szkolnych klubów turystycznych – one kontynuują tradycje wspomnianych kół. Myślę, że to też dobre miejsce do poznawania turystycznego rzemiosła. Jednak ze wszystkich tych form najbardziej korzystna dla dzieci i rodziców jest „szkoła rodzinna”, choćby z jednego powodu. Jest nim ODPOWIEDZIALNOŚĆ. O tym, że istnieje, dowiadujemy się najczęściej przy okazji jakiegoś nieszczęścia lub akcji w górach, na rzece, na innej wyprawie. O tym warto pomyśleć, zanim da się dziecku zgodę na udział w „szkole przetrwania”. Może trzeba się zastanowić, jakim doświadczeniem może dysponować osoba mająca niewiele ponad dwadzieścia lat? Kto wydał takiej osobie uprawnienia, licencje, certyfikaty itd., itp.? Mam wrażenie, że takiego zastanowienia się brakuje.

Znam wiele turystycznych rodzin. Dzieci, a potem młodzież z nich pochodząca to samodzielni turyści niepotrzebujący żadnych szkół, bo wszystkiego nauczyli się podczas rodzinnej turystyki od spacerów po pobliskim lesie do zimowych wypraw na Uralu.

Juliusz Wystouch

idziemy z namiotem, dochodzi wiele dodatkowych czynności, które wykonywane są często w trudniejszych warunkach niż w pensjonacie lub schronisku. Są to wszystkie czynności sanitarne i kulinarne. W schronisku jesteśmy pod dachem, mamy do dyspozycji WC, łazienkę, jadalnię, kuchnię, jakiś kiosk – prawie jak w domu, no i na głowę się nie leje. Na biwaku, jeśli nie jesteśmy na polu biwakowym lub w bazie namiotowej, mamy do dyspozycji wyłącznie siebie, swoje wyposażenie i swoje umiejętności radzenia sobie w terenie. Tych umiejętności uczono i uczy się w harcerstwie oraz we wspomnianych „szkołach...”. No, to kółko się zamknęło. Nieco okrężną drogą, ale według mnie bardziej naturalną, nie na skrót, doszliśmy do



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Znaki 60-lecia KTP ZG PTTK

Minęło sześćdziesiąt lat funkcjonowania Komisji Turystyki Pieszej Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. W latach 1952-2012 grupa turystów związanych z nią podejmowała działania, których celem było popularyzowanie wśród społeczeństwa pieszego krajoznawczego wędrowania po nizinnych regionach Polski. W ciągu tych sześciu dziesiątek lat dzięki pracy kilku pokoleń działaczy kształtował się stopniowo obraz współczesnej turystyki pieszej. Trwałym śladem podejmowanych inicjatyw są osadzone w czasie znaki i symbole wytyczające kierunki podejmowanych działań. Większość z nich, w formie metalowych odznak, medali i znaków graficznych, przetrwała do dzisiejszych czasów, część ma charakter organizacyjnych odznak funkcyjnych, inne to odznaki przeznaczone dla turystów pieszych oraz symbole pamiątkowe związane z kolejnymi jubileuszami zorganizowanej turystyki pieszej. Oddrębna grupa to odznaki wydane z inicjatywy środowiska piechurów dla upamiętnienia ważnych rocznic Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego.

Tak pisze we wstępie do kolejnego wydawnictwa Podkomisji Kolekcjonerstwa Krajoznawczego Włodzimierz Majdewicz. Prezentowany zestaw pamiątek turystycznych to tylko pewna część symbolicznych znaków dokumentujący historię Komisji Turystyki Pieszej ZG PTTK w minionym sześćdziesięcioleciu. Autorem trzydziestu ostatnich projektów graficznych (numery 17-46) jest Włodzimierz Majdewicz, honorowy członek Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, wieloletni przewodniczący KTP ZG PTTK. Stanowią one tylko niewielki fragment Jego dorobku plastycznego. Od wielu lat swoją twórczość artystyczną i zainteresowania historyczne wiąże z aktywną działalnością w PTTK.

Publikację wydano z okazji jubileuszu 60-lecia Komisji Turystyki Pieszej ZG PTTK. Opracowanie: Wojciech Kowalski, skład i łamanie: Jarosław Bronisz, Drukarnia i Wydawnictwo Akademickie Wyższej Szkoły Społeczno-Przyrodniczej im. W. Pola w Lublinie.

H. P.

Odznaka Turystyki Pieszej 1952 r.



1 brązowa

2 srebrna

3 złota



4 duża srebrna



5 duża złota

Odznaka “ Za wytrwałość w turystyce pieszej ” 1967 r.

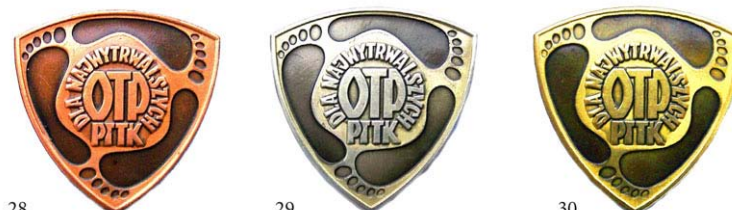


11 I stopień

12 II stopień

13 III stopień

Odznaka “Dla najwytrwalszych w turystyce pieszej” 1993 r.



28 brązowa

29 srebrna

30 złota

Wrocławski Jubilat

Nasz serdeczny kolega i towarzysz wędrówek JAN PACZEŚNIAK obchodzi 80. urodziny. To Senior Oddziału Wrocławskiego PTTK, urodzony 2.04.1933 r. w Poznaniu. Naukę rozpoczął w Grodzisku Mazowieckim, potem kontynuował ją w II Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym we Wrocławiu. Na początku lat 50. XX w. rozpoczął studia na Uniwersytecie Wrocławskim, a potem na Politechnice. Po ponad czterdziestu latach pracy przeszedł na emeryturę.

W działalność turystyczną wciągnęli go koledzy na studiach. Do PTTK wstąpił 1.01.1954 r. Aktualnie jest członkiem Dolnośląskiego Kolegium Instruktorów Krajoznawstwa i Oddziałowej Komisji Krajoznawczej. Posiada różne uprawnienia kadrowe:

- Przewodnika Turystyki Górskiej, komplet uprawnień (nr leg. 1626),
- Instruktora Krajoznawstwa Polski (nr leg. 209/WR/93; 483/P/03),
- Instruktora Ochrony Przyrody PTTK (nr leg. I/17/03),
- Przewodnik Turystyki Pieszej, OB, ŚK (nr leg. 10545).

Potwierdzają je liczne zdobyte odznaki turystyki kwalifikowanej: OKP – złota z szafirem (jako jedyny na Dolnym Śląsku); GOT – duża złota + 4-krotne wyróżnienie „Za wytrwałość” 2x (mała i duża); GON – mała złota; OTP – mała złota + 3-krotne wyróżnienie „Za wytrwałość w turystyce pieszej” + wyróżnienie „Dla najwytrwalszych w turystyce pieszej” w stopniu brązowym; MOT – złota III klasy (ob. mała złota); Turysta Przyrodnik – duża złota; OKraj. – złota (dawny typ); OTZZ – złota; ROK – srebrna; KOT – brązowa; TM – brązowa; TOK – brązowa; OFK – brązowa; Turystyczna Odznaka Motorowa PZMot. – złota; Turystyczna Odznaka Kolarska PZKol. – brązowa, oraz szereg regionalnych i wojewódzkich odznak turystyczno-krajoznawczych.

O swej działalności Jubilat pisze: „Każdą wolną chwilę wykorzystywaliśmy na wędrówki po górach, początkowo w kiluosobowych grupach koleżeńskich, które z czasem zamieniły się w drużyny rajdowe. I tak pierwszym moim rajdem, w którym uczestniczyłem, był Nocny Rajd na Ślęzę w 1954 roku. Zapoczątkował on całą serię rajdów organizowanych przez Oddział Wrocławski PTTK. Później uczestniczyłem w wielu rajdach początkowo jako członek drużyn, później jako członek obsługi tras, aż do kierowania całą organizacją rajdów. Największym rajdem, którym kierowałem, był ostatni Rajd Tysiąclecia w 1966 roku liczący, jeśli dobrze zapamiętałem, ponad dwa tysiące uczestników. Obecnie powoli wycofuję się z aktywnej działalności zostawiając pole do popisu młodemu (tylko gdzie oni są?). (...) W latach 60-tych, gdy byłem przewodniczącym O/KTG, na polecenie Zarządu Oddziału napisałem artykuł o działalności naszej Komisji Górskiej. Takie polecenie dostali wszyscy szefowie komisji oddziałowych. Artykuły te, obrazujące działalność i osiągnięcia oddziału miały się ukazać w specjalnej jednodniówce wydanej z okazji bodajże 15-lecia Oddziału. Niestety jednodniówka nie doczekała się wydania, gdyż poza mną i Bronkiem Turoniem (O/KTP) inne komisje nie dostarczyły swoich artykułów. Nam nasze artykuły zwrócono z zaleceniem zachowania ich dla przyszłych pokoleń. Ostatnio przeglądając swoje materiały archiwalne znalazłem ten artykuł. Czy taka rzecz interesowałaby Pana Redaktora ?” – Odpisałem, że tak.

Funkcji pełnionych w PTTK też się nabierało: prezes Koła Terenowego Nr 1 – 4 lata; przew. Komisji Rewizyjnej Koła Terenowego Nr 1 – 4 lata; członek Zarządu Oddziału Wrocławskiego – 8 lat; sekretarz Zarządu



Oddziału Wrocławskiego – 1 rok; v-przew. Komisji Rewizyjnej Oddziału Wrocławskiego – 4 lata; przew. Komisji Rewizyjnej Oddziału Wrocławskiego – 4 lata; przew. Sądu Koleżeńskiego Oddziału Wrocławskiego – 4 lata; członek Oddziałowej Komisji Turystyki Górskiej – 4 lata; przew. Oddziałowej Komisji Turystyki Górskiej – 2 lata; członek Oddziałowej Komisji Krajoznawczej – 12 lat + ob. kadencja; członek Okręgowej KTG we Wrocławiu – 12 lat; członek KTG ZW we Wrocławiu – 19 lat; Członek TRW GOT we Wrocławiu – 22 lata; przew. TRW GOT we Wrocławiu – 19 lat; członek Komisji Egzaminacyjnej ob. Przodowników TG – 32 lata; przew. Dolnośl. Komisji Egzamin. ob. Przodowników TG – 8 lat; v-przew. Dolnośl. Kolegium Instruktorów Krajoznawstwa – 4 lata; członek Dolnośl. Kolegium Instruktorów Krajoznawstwa – 4 lata + ob. kadencja.

Ta wielka aktywność została uhonorowana licznymi wyróżnieniami. Najważniejsze to odznaczenia za działalność społeczną w PTTK: Srebrny Krzyż Zasługi (na wniosek Oddziału Wrocławskiego PTTK); Medal „Za zasługi dla turystyki”; Zasłużony Działacz Turystyki – srebrna odznaka; Zasłużony Działacz Kultury Fizycznej – złota odznaka; Złota i Srebrna Honorowa Odznaka PTTK; Medal 50-lecia PTTK; Honorowy Przodownik Turystyki Górskiej (nr leg. 412); Medal KTG ZG PTTK „Za zasługi dla turystyki górskiej”; Medal 125-lecia TT-PTT-PTTK; Honorowa Odznaka 50-lecia GOT-PTTK; Dyplom KTG-ZG PTTK – 2-krotnie; Odznaka „25 lat w PTTK”; Odznaka „50 lat w PTTK”; srebrna i złota Honorowa Odznaka Oddziału Wrocławskiego PTTK; Medal Honorowy 50-lecia Oddziału Wrocławskiego PTTK; srebrna i złota odznaka O/KTG; Medal Honorowy 25-lecia O/KTG; Honorowa Odznaka „Turysta Dolnego Śląska”; Odznaka XX-lecia; „Zasłużony dla sportu i turystyki”.

Życzymy Ci Janku zdrowia, długich, szczęśliwych i pogodnych dni!

W imieniu Redakcji
Andrzej Rumiński



Odszedł Theodor Lokvenc

Nieoczekiwanie najbliżsi, przyjaciele i Karkonosze utracili 15. lutego br. wspaniałego człowieka – leśnika, ekologa, historyka-amatora i etnografa w jednej osobie, który zmarł w Opoćnie na Pogórze Orlickim. Pochodził on z Małych Svatoňovic na południowym pograniczu Śląska opawskiego, ale urodził się 27.10.1926 r. w szpitalu w Nachodzie. Gimnazjum ukończył w 1942 r. w Jaromierzu w okresie tzw. Protektoratu, czyli faktycznej okupacji Czech przez III Rzeszę. W czasie wojny pracował w prywatnych lasach, od dziecka interesując się przyrodą. Jego ojciec bowiem – górnik w zagłębiu ostrawskim, posiadał znaczną kolekcję skał i minerałów. Stąd też wybór szkoły leśnictwa w Písku, gdzie uzyskał maturę w 1948 r. W Opoćnie w 1951 r. otwarto placówkę badawczo-rozwojową leśnictwa, w której się zatrudnił, aż do emerytury w 1990 r., już jako wysoko ceniony pracownik Leśnicznej Stacji Badawczej. Podjął zaoczne studia leśnicze w latach 1957-1963 w Pradze, a swoje głębsze zainteresowania pogłębiał badaniami naukowymi, na podstawie których w 1967 r. uzyskał stopień kandydata nauk (CSc.). Był wieloletnim współpracownikiem Krkonošského narodního parku (KRNAP), zasługując się szczególnie dla rekultywacji i restytucji terenów powyżej górnej granicy lasu w Karkonoszach, zwłaszcza kosodrzewiny i innych zespołów roślinnych. Odbył kilka wyjazdów naukowych, uczestniczył w konferencjach zagranicznych. Został autorem ponad 570 publikacji, z tego 310 poświęconych Karkonoszom, m.in. na temat historii budziarstwa i zielarstwa. Jako pierwszy wydał w 1978 r. czeską monografię tych gór *Toulky krkonošskou minulostí (Włóczęgi karkonoskiej przeszłości)*. Znany był z licznych publikacji popularnych, szczególnie na łamach czasopisma *Krkonoše – Jizerské hory*, którego współpracownikiem był wiele lat. Zasłużył się tym budowaniem rzetelnej wiedzy o przeszłości tego i swojego rodzinnego regionu. Mój list do Niego doszedł do Opočna w kilka dni po śmierci.

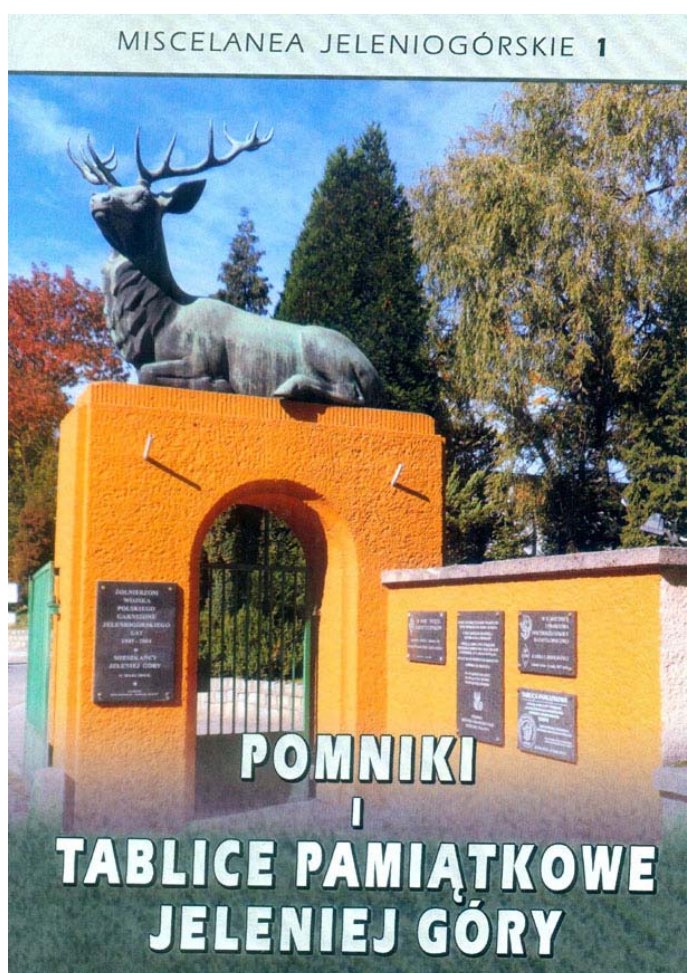
Krzysztof R. Mazurski

Pamięć i szacunek jeleniogórzan

Chęć utrwalenia pamięci o jakichś wydarzeniach czy postaciach jest bardzo stara, sięgająca może początków ludzkiej cywilizacji. Taka była idea pomników, a potem – po rozpowszechnieniu się pisma i stosownych tablic pamiątkowych. W naszych czasach przetrzymało się to w pewnych kręgach w swoistą manię – wszystko, a już zwłaszcza wszyscy (oczywiście z „naszego” kręgu) muszą być tak upamiętnieni. W dobie rodzącej się obecnie w Polsce demokracji sypnęło owymi dowodami, miasta zaczynają być obwieszane tablicami, bo to łatwiejsze do wykonania, tańsze i określoną treść można wsadzić. Ale i pewnych pomników sypnęło! Nie odnosząc się do ich wątpliwej często estetyki i braku społecznego poparcia trzeba stwierdzić, iż stanowią one realny element krajobrazu i w wielu wypadku dostarczają cenną informację tak dla turystów, jak i mieszkańców. Niewątpliwie jest to widoczne zjawisko kulturowe. Z tego też powodu zaczynają się próby rejestrowania i utrwalania w zbioreczny sposób owych dokonań, jak stało się to niedawno z obszernym opracowaniem dotyczącym Wrocławia.

Podobnego kroku dokonało środowisko jeleniogórskie, rzecz ciekawa, jako konsekwencja działań uczniów I Liceum Ogólnokształcącego, zainspirowanych przez Ivona Łaborewicza – zasłużonego kierownika tamtejszego oddziału Archiwum Państwowego. W 2008 r. uruchomili oni portal internetowy w formie wystawy „W pamięci jeleniogórzan”. Kontynuowanie tych zainteresowań zaowocowało prezentowaną tu książką, której inicjatorem i redaktorem merytorycznym stał się ów Pan. Jest to pierwszy tom serii „Miscelanea Jeleniogórskie”, które zamierza wydawać – jak należy się domyślać, Towarzystwo Przyjaciół Jeleniej Góry wspólnie ze wspomnianym Archiwum. Rzecz składa się z trzech zasadniczych części. Pierwsza to krótki, ale nasycony faktami swoisty esej Jolanty Ryglewskiej na temat kreowania przestrzeni symbolicznej w stolicy regionu, odnoszący się wszakże do okresu po 1945 r. Ukazuje on rolę i znaczenia takich symboli pamięci, budzących niejednokrotnie kontrowersje w odniesieniu do poszczególnych okresów, najczęściej o podłożu ideologicznym, a nie estetycznym. Wobec zupełnie nowych realizacji, tak przy okazji, wiele osób woli nie zabierać głosu, by się nie narazić określonym grupom.

Obszerną część stanowi inwentaryzacyjno-historyczny opis pomników Jeleniej Góry. Iwo Łaborewicz udokumentował 39 różnych obiektów – od klasycznych pomników po drewniane rzeźby wojów i „Krzeseł Teatru Animacji”. Jakikolwiek budziłyby one uczucia i odczucia, to codziennie widzą je setki i tysiące osób. Szczególnie cenne są opracowane przez autora dzieje owych dowodów pamięci czy chęci zaznaczenia swoich postaw lub poglądów. Trochę razi używanie przez tak wytrawnego i obdarzonego znakomitą postawą obiektywizmu określenia *sowiecki* zamiast normalnie polskiego w takim kontekście *radziecki*. To pierwsze, trafne do pierwszych lat porewolucyjnych w Rosji, używane jest w zabarwieniu pejoratywnym do wszystkiego, co odnosi się do byłego ZSRR. Chyba więc nie na miejscu w fachowym – bo za takowe trzeba uznać publikację, opracowaniu.



Trzecia część to 49 opisów tablic, przygotowana przez Krzysztofa Senderaka, Jędrzeja Solińskiego i Marka Szajdę. Każdy składa się z identycznych elementów: tekst (oczywiście napisu na tablicy), lokalizacja, rok odsłonięcia, wymiary, wykonanie (materiał, ew. krótki rys historyczny przedsięwzięcia). Istotnym elementem są fotografie, choć, niestety, nie zawsze najlepszej jakości, chyba głównie z powodu druku czarno-białego.

Swoje znaczenie posiada dość obszerny spis literatury, służącej do opracowania haseł. W sumie należy pogratulować inicjatywy i władzom miasta, który ją wsparły. Tego rodzaju opracowania stanowią nader ważny dokument życia i wizerunku miejscowości i jej społeczności, mogący też służyć edukacji, specjalnie młodzieży. A i turystom się przyda.

Pomniki i tablice pamiątkowe Jeleniej Góry. Pod red. Ivo Łaborewicza. Jelenia Góra: (Towarzystwo Przyjaciół Jeleniej Góry – Archiwum Państwowe we Wrocławiu Oddział w Jeleniej Górze) 2012, 170 s.

Krzysztof R. Mazurski

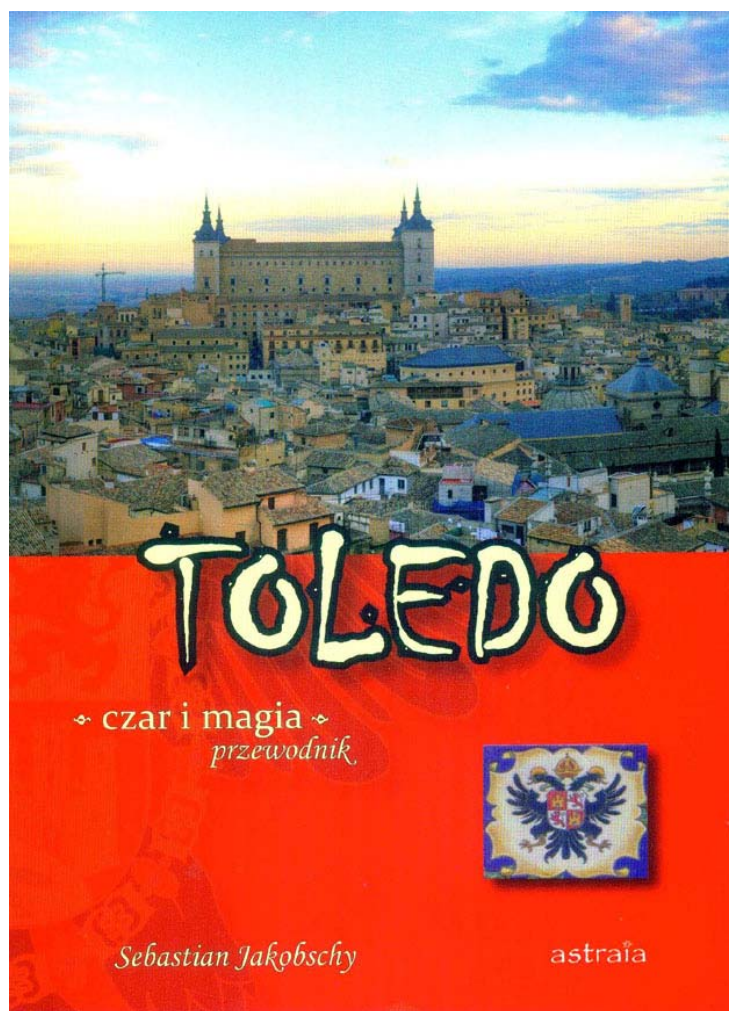
Toledo – miasto ze snów

Kto choć trochę zetknął się ze sztuką, ten zna nazwisko, a właściwie przydomek *El Greco* – jednego z największych i najoryginalniejszych malarzy europejskich – Doménikosa Theotokópoulosa (ur 1541 na Krecie, zm. 1614 w Toledo). A kto zobaczył jego jeden z najbardziej znanych obrazów – *Widok Toledo*, ten nigdy nie zapomni oryginalnej wizji, strzelistej, tajemniczej, wciągającej. Nazwa *Toledo* na zawsze zapadnie w pamięci. Mimo to niewielu Polaków jest w stanie wymienić je wśród najciekawszych i najpiękniejszych miast Hiszpanii. Dobrze więc się stało, że ukazał się po nim przewodnik naszego wieloletniego autora, który po długim pobycie w tym zaczarowanym grodzie, gdzie czas jakby zatrzymał się w miejscu, poznał dobrze – na ile to możliwe, jego uroki.

Przewodnik jest nietypowy. Nie proponuje żadnych tras – co w istocie charakteryzuje „normalny” przewodnik, ani nie prezentuje miasta w określonych układach przestrzennych. Opisy są podane w układzie rzeczowym: obwarowania, mosty (!), świątynie, muzea... Oczywiście jest i część ogólnie historyczna, i specjalne smaczki dla koneserów, i informacje praktyczne, łącznie z podstawowymi zwrotami hiszpańskimi. Istotnym uzupełnieniem są liczne kolorowe fotografie, ale nie w tekście – co zwykle utrudnia korzystanie z przewodnika i obecnie dominuje nad informacją pisaną, ale w formie końcowego aneksu. Dodać do tego trzeba nader poręczny, kieszonkowy format, bez żadnych uciążliwych technicznych, w jakich prześciga się wielu wydawców, wcale nie ułatwiających życia turystów.

Co można dodać? No cóż, żałuję, że nie miałem tej pozycji, jak sam zwiedzałem Toledo. Hasta luego!

Sebastian Jakobschy: *Toledo – czar i magia. Przewodnik.* Kraków: Wydawnictwo astraia 2010, 159 s. + 64 ilustr.



Krzysztof R. Mazurski

OKP stopień złoty: ponownie nad Bałtykiem

Po zimowej przerwie podjąłem trud zdobywania Odznaki Krajoznawczej Polski w stopniu złotym. Ponownie ruszyłem w Polskę. Realizację moich planów ułatwiło mi otrzymanie skierowania do sanatorium – wysłano mnie do Kołobrzegu. Byłem w tych stronach już tyle razy, że trudno mi znaleźć tu coś, czego jeszcze nie widziałem. Czasami szczęście potrafi uśmiechnąć się w zupełnie niespodziewanym momencie. Tak właśnie stało się tym razem. Wybrałem się na wycieczkę zorganizowaną dla kuracjuszy i poznałem na niej przewodnika. Był nim Stefan Raniecki. Kilka dni później przyszedł on z rana, by rozłożyć w recepcji jakieś ulotki. Po dłuższej rozmowie umówiliśmy się na zwiedzanie miasta. Pokazał mi wtedy zupełnie nieznanne mi obiekty, które z reguły są pomijane podczas popularnych wycieczek. Któregoś dnia po południu wyruszyliśmy do starego dębu w lesie. Trochę zrobiło się nam nieprzyjemnie, gdy zobaczyliśmy ślady dzików. Postanowiliśmy zatem ruszyć w stronę miasta na przełaj. Na ziemi leżały liście i płaty mokrego śniegu, stąd kilka razy nieźle się wywróciłem. Gdy zobaczyli mnie pracownicy recepcji, początkowo chcieli coś powiedzieć: byłem do pasa ubłocony, dochodziła północ. Jednak, gdy powiedziałem, gdzie byłem i, co ważniejsze, z kim, pokiwali tylko głowami z politowaniem i bez słowa wpuścili do środka. Okazało się, iż mój przewodnik uchodzi tu za takiego niegroźnego maniaka wycieczkowego. Od tej pory nie miałem już żadnych problemów, gdy wracałem z późnych wypadów.

Stefan chciał, zupełnie prywatnie, wybrać się na zimowe zwiedzanie Słowińskiego Parku Narodowego. Ale chciał pokazać go żonie. Dogadaliśmy się, iż ja daję transport, a on służy za przewodnika. I tak pojechaliśmy 18 marca w trasę. W Słupsku zwiedziliśmy Muzeum Pomorza Środkowego, gdzie mają bardzo ładne bilety i ciekawą pieczętkę. Po takiej małej rozgrzewce dotarliśmy nad jezioro Gardno, później wdrapaliśmy się na Rowokół, niestety – wieża była zamknięta, o czym nas uprzedzano. W siedzibie Parku nabyliśmy bilety do Muzeum Przyrodniczego w Smołdzinie. Po jego zwiedzeniu pomaszzerowaliśmy na Mierzeję. Przeszliśmy spory szmat



Skansen w Klukach

drogi, jednak widoki, jakie nam towarzyszyły, rekompensowały cały wysiłek. Po dotarciu nad brzeg Bałtyku ujrzeliśmy coś niesamowitego. Na piasku leżały setki płaskich muszli, które dzięki wiatrowi jakby stały na słupkach. To naprawdę trzeba zobaczyć na własne oczy. Z przyjemnością pojechaliśmy do miejscowości Kluki, do Muzeum Wsi Słowińskiej. Nie było zbyt wielu turystów, więc przydzielono nam przewodnika i poszliśmy między chałupki. Pokazano, jak wybiera się torf, jak się go suszy i wyjaśniono, co oznacza pojęcie „czarne wesele”. Szczególnie zaciękały nas drewniane buty dla koni, aby nie zapadały się one w torfie. Uznaliśmy dzień za bardzo udany, mimo iż wróciliśmy z wycieczki dopiero po 13 godz.

Po kilku dniach odpoczynku pojechałem do Bytowa, gdzie dla zwiedzających przygotowano spory (płatny) parking tuż przy zamku. Oprócz Muzeum Zachodniej Kaszubszczyzny warto zwiedzić także najbliższą okolicę. Rośnie tu bardzo dużo pomników przyrody, otabliczkowanych jeszcze starymi oznaczeniami. Po poprzysuwaniu zabiegów wyjechałem, by zobaczyć Kaszubski Park Etnograficzny we Wdzydzach Kiszewskich. Jest to najstarsze w Polsce muzeum na wolnym powietrzu. Byłem akurat jedynym zwiedzającym, więc przydzielono



Słowiński PN

mi tzw. klucznika i wyruszyliśmy na zwiedzanie. Mogłem zadawać, ile chciałem, pytań, gdyż oprowadzający przewodnik nie burzył się na takie postępowanie. Za każdym razem udzielał bardzo wyczerpujących odpowiedzi.

W dalszej drodze zobaczyłem drogowiskaz Odry – Rezerwat Kręgi, więc skręciłem bez zastanowienia. Okazało się jednak, że te niecałe 5 km to „droga przez mękę”. Całe szczęście, że jechałem samochodem terenowym, pewnie w innym wypadku bym zawrócił. W muzeum w Odrach nabyłem bilet i otrzymałem wielką pieczętkę. Wracając do sanatorium dotarłem do Kartuz, a tam podjechałem pod kolegiatę. Jest tam więcej zabudowań, jednak prowadzono w nich prace re-

montowe. Całość to Pokartuski Zespół Klasztorny. Zaraz miała zacząć się msza, to pieczętkę uzyskałem w kwiaciarni mieszczącej się przy kościele. Na odcisku znajduje się wizerunek świątyni. Stąd udałem się do Żukowa, gdzie odwiedziłem kolejny Zespół Poklasztorny – norbertanek. Ozdoby wnętrza kościoła to samo piękno. Odnosimy tutaj wrażenie, jakby ze wszystkiego kapłało złoto. Wypatrzyłem tutaj chyba najpiękniejszy łuk tęczy, jaki do tej pory widziałem. W jednym z budynków zespołu utworzono Muzeum Parafialne, w którym można obejrzeć dużą kolekcję ornatów.

I tak oto nadszedł czas powrotu do domu. Przedostatniego dnia marca wyruszyłem w stronę Zgorzelca. Nie byłbym jednak sobą, gdybym po drodze czegoś nie zwiedzał. Na początek dotarłem do Szamotuł, gdzie obejrzałem Muzeum Zamek Górków. Można tu podjechać prawie pod samą bramę. Po chwili byłem już w Sierakowie i udałem się do kościoła NMP Niepokalanie Poczętej. Największe wrażenie wywołuje w nim ołtarz główny. Jest tak bogato zdobiony, że początkowo nie wiadomo, na co patrzeć. Jednak po pieczętkę trzeba udać się na parafię znajdująca się w budynku obok. Znowu miałem niesamowite szczęście, gdyż po dotarciu do Muzeum – Zamku Opalińskich w Sierakowie okazało się, iż to już ostatni gwizdek. Jest ono czynne bardzo krótko. By nie kusić losu w dalszej drodze, dałem sobie już spokój ze zwiedzaniem i pojechałem prościutko do domu, w którym byłem nazajutrz.

W połowie kwietnia miałem coś do załatwienia i postanowiłem przy okazji zaliczyć któryś z obiektów z Kanonu. Pojechaliśmy z żoną do Gostynia, gdzie zwiedziliśmy Zespół Klasztorny Filipinów. W klasztorze otrzymaliśmy pieczętkę. Następnie obejrzelśmy kościół z potężną kopułą. Tutaj dowiedzieliśmy się, iż miejscowi nazywają to miejsce Święta Góra. Po załatwieniu spraw dotarliśmy do Starego Lichenia, by obejrzeć Sanktuarium Maryjne z kościołem MB Bolesnej Królowej Polski. Spędziliśmy tu kilka godzin, by poznać jak najlepiej znajdujących się tu obiektów.



Wydma Czołpińska



Udało się jeszcze dotrzeć do pocysterskiego kościoła św. Jana Chrzciciela w Przemyśle. Dla odpoczynku pospacerowaliśmy po przylegającym terenie i wypatrzyliśmy potężną lipę, oznaczoną jako pomnik przyrody. Po zmierzeniu okazało się ono mieć 540 cm w obwodzie.

Pod koniec kwietnia, wracając z Wrocławia, zjechałem na Legnickie Pole, by zobaczyć Pobenedyktynski Zespół Klasztorny. Obecnie w jego zabudowaniach znajduje się Dom Opieki Społecznej. Aby wejść do kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego i Św. Jadwigi Śląskiej, trzeba udać się do biura w budynku po drugiej stronie ulicy. Jeśli trafi się tam na panią opiekującą się muzeum, to otworzy i kościół. Normalnie sanktuarium jest zamknięte.

Krzysztof Tęcza

Gosyń

"NA SZLAKU" - magazyn turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK odznaczone "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Z-ca Sekretarza: **Alicja Jachimowicz**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**

Webmaster: **Paweł Rumiński**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wysłouch**



Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.